Nr. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok IX

ŚWIATOWID

Idę do szkoły...



...ale [illegible] mi wakacji.

Fot. Jan Szwedo.

SENSACJE TYGODNIA.





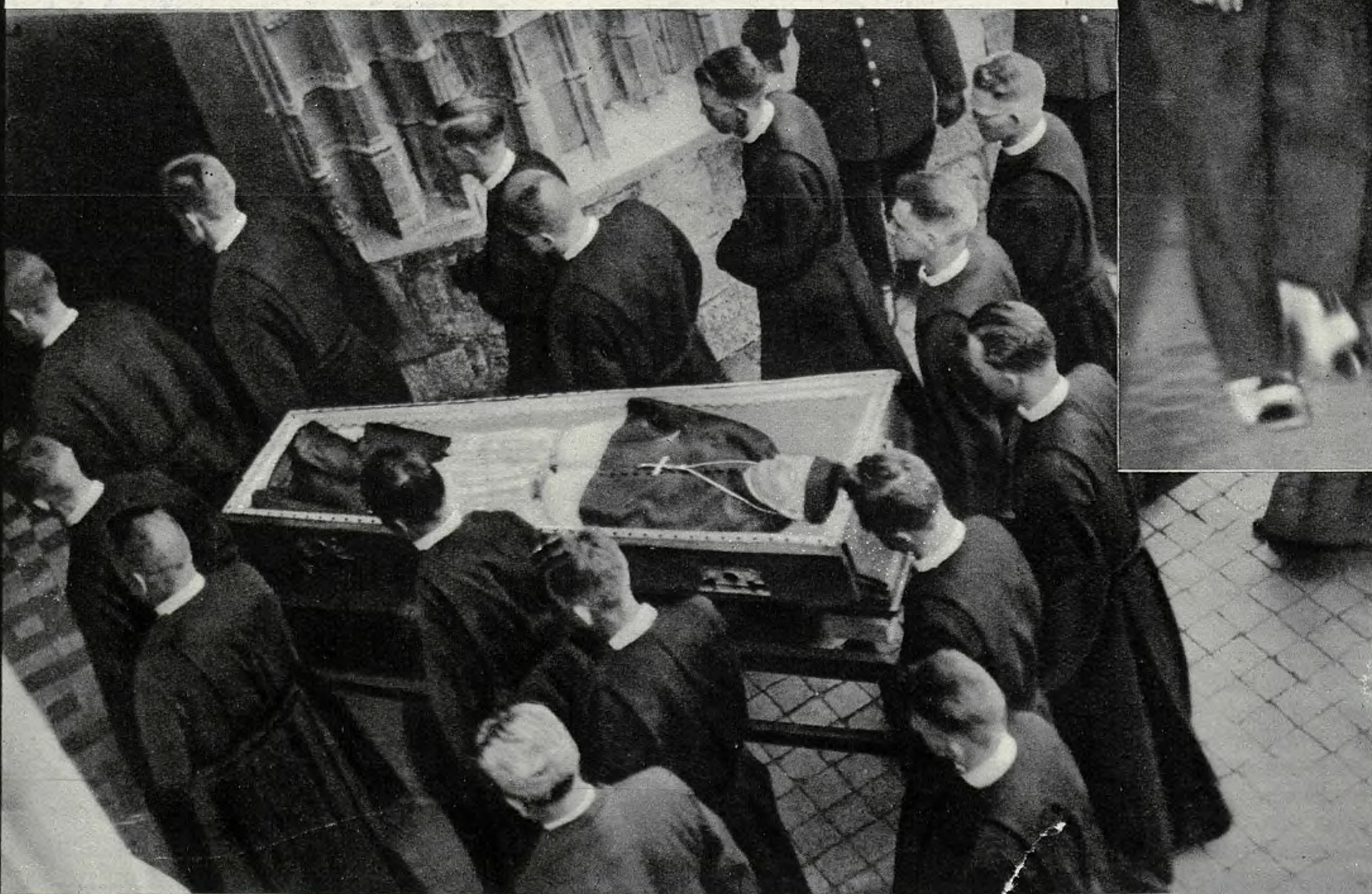
JIMMY WALKER USTĄPIŁ. Popularny burmistrz Nowego Jorku, Jimmy Walker, podał się do dymisji przed ukończeniem procesu, który wytoczono mu za łapownictwo.

OLBRZYMI STRAJK W ANGLJI. W Lacashire, ośrodku angielskim przemysłu bawełnianego, zastrajkowało 250.000 robotników, ponieważ fabryki zaproponowały im obniżkę zarobków o 10%. Także tkacze nie zgodzili się na obsługiwanie kilku wrzecion równocześnie, co kierownictwo fabryki zamierzało wprowadzić. Na zdjęciu długi łańcuch strajkujących przed fabryką.





ARESZTOWANIE NIEBEZPIECZNEGO BANDYTY. Przed niedawnym czasem dokonano w Marsylji zuchwałego napadu na urząd pocztowy, przyczem w pościgu trzech policjantów zostało zabitych. Przywódca bandytów, niejaki Maucurer, zdołał umknąć i przez dłuższy czas ukrywał się on przed okiem policji, dopiero w tych dniach zdołano wyśledzić jego kryjówkę i aresztowano go. Na zdjęciu widzimy go skutego, prowadzonego przez dwóch agentów.



ZGON KARDYNAŁA VAN ROSSUM. Dnia 30-go sierpnia zmarł w Maastricht w Holandji kardynał van Rossum, przewodniczący Św. Kongregacji Wiary. Sędziwy ten kardynał holenderski położył ogromne zasługi na polu rozkrzewienia wiary i był jednym z założycieli Akcji katolickiej. — Zdjęcie przedstawia zwłoki kardynała van Rossum, niesione w otwartej trumnie do kościoła św. Gerwazego.

ŚPIEWAKI LEŚNE OPUSZCZAJĄ NASZ KRAJ.



Słowik, król naszych śpiewaków leśnych, odlatuje do ciepłych krajów w połowie września, a powraca do nas około 15 kwietnia.

Z końcem sierpnia zaczyna się w naszym kraju odlot ptaków wędrownych, który trwa aż do pierwszych dni listopada. Jako pierwsze opuszczają nasz kraj bociany, a czynią to prawie zawsze na św. Bartłomieja, t. j. dnia 28 sierpnia. Przed odlotem zbierają się one w większe gromady i odbywają t. zw. sejmy, w czasie których wszystkie osobniki zostają poddane przeglądowi. Te, które okażą się niezdolne do dłuższej podróży, zostają ze stada wydzielone i bądź na miejscu zabite, bądź też pozostawione swojemu losowi. Bocianowi takiemu, o ile mu się uda przetrwać zimę w jakiejś chałupie chłopskiej, — gdyż lud chętnie te ptaki chowa u siebie i nie czyni im krzywdy, uważając, że przynoszą one błogosławieństwo Boże i chronią od pożaru, nie wolno na wiosnę wrócić do społeczności bocianiej, zbliżyć się do samicy, ani zakładać gniazda.

W połowie września opuszczają nas prawie wszystkie ptaki owadożerne, a więc słowiki, gajówki, pokrzywki, rudziki itd. Charakterystycznem jest, że wędrują one przeważnie samotnie, przenosząc się z krzaku na krzak, z miejsca na miejsce.

Jako ostatnie odlatują skowronki. Nie znamy jeszcze dokładnie szlaków przelotu ptaków wędrownych, choć badania nad tą sprawą są prowadzone bardzo intensywnie i szczególnie w ostatnich czasach udało się uchylić już niejeden rąbek tej tajemnicy. Przedewszystkiem więc nie ulega żadnej wątpliwości, że ptaki odlatując nie kierują się tylko jakimś instynktem, jak się to dawniej mówiło, ale doświadczeniem, zdobytem od wieków, które jest przekazywane z pokolenia w pokolenie. I tak np. czas odlotu zależny jest ściśle od warunków atmosferycznych, od kierunku wiatru, od stanu pogody, a nawet od faz księżyca. Powtóre ptaki nie lecą na ślepo, ale skierowywują się do poszczególnych etapów, które stanowią niejako stacje węzłowe w ich podróży. Na każdym takim etapie skowronki np. zatrzymują się przez dwa do trzech dni, aby nabrać sił i pokrzepić się. Gdyby chciały zatrzymać się dłużej zostają bezapelacyjnie wyrzucone przez nowe stado, które tymczasem nadciąga. Ptasznicy, szczególnie niemieccy, francuscy i włoscy, znają doskonale te etapy (są nimi przeważnie ścierniska po owsie) i na miejscach tych urządzają masową rzeź tych przemiłych ptaków, które w krajach tych są uważane za specjał i wędrują jako przysmak do kuchni. Rokrocznie dziesiątki tysięcy tych ptaków pada w ten sposób ofiarą ptaszników. Przed kilku laty Liga Narodów rozpoczęła starania, ażeby zarówno we Francji jak i we Włoszech zakazano tępienia skowronków i innych ptaków śpiewających, niestety jednak jak dotąd usiłowania te spełzły na niczem i trzeba będzie jeszcze długich wysiłków, a przedewszystkiem odpowiedniej propagandy, aby mieszkańców Południa oduczyć od jedzenia ptaków śpiewających. Mają oni to tylko na swoją obronę do powiedzenia, że tradycje tępienia ptaków śpiewających na półwyspie Apenińskim są bardzo stare i sięgają jeszcze starożytnych Rzymian, którzy odpowiednio przyrządzone języki słowicze uważali za potrawę godną bogów.

W czasie przelotu tysiące ptaków ginie także z przemęczenia. Trzeba bowiem nielada wysiłków, aby przebyć odległość, wynoszącą czasem kilka tysięcy kilometrów, aby bez odpoczynku przelatywać morza, ażeby wznosić się na wysokość kilku tysięcy metrów. Czasem także zdarza się, że ptaki, które zbyt późno wybrały się w podróż zostają zaskoczone nawałnicą śnieżną. Taki wypadek miał miejsce w ub. roku we Wiedniu, gdzie dziesiątki tysięcy jaskółek przemrożonych opadło na ziemię. Byłyby one z pewnością zmarniały, gdyby nie interwencja Ligi Ochrony Zwierząt, która postarała się o samoloty i wyekspedjowała biedne jaskółki do Włoch, gdzie dopiero wypuszczono je.

Zaledwie ptaki śpiewające opuszczą Polskę, a już zjawiają się inni goście skrzydlaci. Są to mieszkańcy dalekiej północy, które z północnej Szwecji i ze Syberji nadciągają do nas, aby przeczekać straszliwe mrozy i zawieje, panujące w tamtych okolicach. Jawi się więc przedewszystkiem gil, którego ulubionym przysmakiem jest jarzębina, jawią się kwiczoły i obsiadają krzaki jałowcowe. Nadciągają paszkoty, jemiołuszki i inne drobne ptactwo. Wszystkie te ptaki pozostają u nas aż do końca marca, poczem znowu wędrują na północ, gdyż nie znoszą gorąca.

Uczeni zauważyli, że niejednokrotnie ptaki, które dawniej odlatywały do Afryki i do Azji, znajdując odpowiednie warunki zatrzymały się na stałe w południowej Francji (przedewszystkiem na Riwierze), gdzie przepędzały całą zimę. Wypadki takie zaobserwowano także i w Niemczech, szczególnie po miastach, gdzie ochrona ptactwa stoi bardzo wysoko i gdzie w każdym parku są odpowiednie budki z żywnością, przeznaczoną na dożywianie ptaków. Takie budki pojawiły się teraz i na krakowskich Plantach i w warszawskich ogrodach, nie brak ich także w Poznaniu i na Pomorzu. Cóż jednak z tego, kiedy szeroka publiczność napełnia je pożywieniem zupełnie nieodpowiedniem, którego żaden szlachetny ptak ani nie tchnie. Widzi się tam bowiem rozgotowaną fasolę, kartofle, a nawet kapustę kwaśną i kawałki mięsa. Specjały te są może dobre dla wron i gawronów, ale nie dla sikor, czeczotek, szczygłów i zięb. Kto chce dożywiać ptaki niech na stoiska sypie przedewszystkiem tłuczone siemię, a następnie inne nasiona roślin oleistych. Dla sikor najodpowiedniejszą jest niesolona słonina.

Powrót ptaków śpiewających zaczyna się w końcu lutego, przyczem jako pierwsze zjawiają się zięby, skowronki, kosy i szpaki. *Dr. Z.*

MILJARDY USKŁADANE PRZEZ PTAKI.



Olbrzymie masy ptactwa na wybrzeżu Ameryki południowej.

Zachodnie pobrzeże Południowej Ameryki roi się od mnóstwa ptaków, które w nieprzejrzanych gromadach zalegają ziemię, lub krążą nad morzem w poszukiwaniu pożywienia (mewy, kormorany, głuptaki, rybitwy itd.). Ptaki te żywią się wyłącznie rybami, ponieważ zaś odznaczają się wielką żarłocznością i trawią bardzo szybko, przeto ogromne masy ryb padają ofiarą ich apetytu. Odchody tych ptaków gromadząc się na skalistem podłożu od wieków, z czasem utworzyły warstwy do 20 metrów grubości. Odchody te znane są w handlu pod nazwą guana, a ponieważ zawierają znaczny procent soli amoniakalnej, oraz fosforanu wapniowego, stanowią doskonały nawóz. Pokłady guana spotyka się przeważnie na wyspach, rozsianych wzdłuż pobrzeża, chociaż i na stałym lądzie znaleźć można znaczne jego warstwy. Specjalnie z obfitości guana słyną wyspy Chincha, Guanape, Pabellon de Pica, Islas de Lobos itd. Wysłana w 1853 r. przez rząd peruwiański komisja obliczyła ilość guana w Chincha na 12,250.000 beczek, co daje pojęcie o ilości guana w samem tylko Peru. Dochody zaś, jakie Peru uzyskało z eksportu tego nawozu, wyniosły w ciągu 20 lat (1841—1860) około miljarda franków złotych. To też nic dziwnego, że drobne niezamieszkałe wysepki, posiadające złoża guany, stały się powodem krwawej wojny pomiędzy republiką Peru a Chile. Wojna ta skończyła się zwycięstwem Chile, które zagarnąwszy kilka wysp, sprzedały później większe partje guana za półtora miljarda franków.

Własności guana znane już były starożytnym Peruwjanom, przed najściem Hiszpanów. Indjanie eksploatowali je bardzo umiejętnie, a każda prowincja miała wyznaczoną inną wyspę do użytku. Eksport guana do Europy rozpoczął się dopiero w r 1841 r. za sprawą Humboldta. Początkowo przypuszczano, że guano jest pochodzenia mineralnego, dopiero później przekonano się, że są to odchody ptasie. Niemniej jednak były czasy, kiedy stanowiło ono prawdziwe żyły złota o które warto było przelewać krew.

CZEM SIĘ UPIJAJĄ MEKSYKAŃCZYCY?



Plantacje agawy. Hodowane w Europie agawy kwitną raz na sto lat, w swojej ojczyźnie Meksyku raz na 15 lat.

Narodowym trunkiem Meksykańczyków jest pulka (pulque). Pulkę otrzymuje się z soku z agawy. Skoro w piątym roku agawa zaczyna już dojrzewać i pędzić słup kwiatowy, ucina się go u samego spodu, tworząc niewielkie zagłębienie. W tem zagłębieniu zbiera się sok, który czerpie się codziennie i poddaje fermentacji, pod wpływem której z soku tego tworzy się napój, cuchnący zgniłemi jajami. Dla europejskiego podniebienia jest on wprost wstrętny i nie do przełknięcia, Indjanie jednak przepadają za tym trunkiem, działa on bowiem znacznie bardziej oszałamiająco, aniżeli wódka.

Ponieważ agawa jest niezbędnym surowcem dla otrzymania pulki, przeto hoduje się ten krzew na szeroką skalę w Meksyku. Największe plantacje agawy znajdują się na wysokości 2.550 metrów w pobliżu Huamatle i Apisano. Z włókna agawy wyrabia się t. zw. „henequen", z którego sporządza się powrozy i grube płótna.



Indjanie, konsumenci pulki.

NAJŁASKAWSZY Z DZIKICH DRAPIEŻNIKÓW.

Ze wszystkich dzikich kotów najłatwiej oswaja się i przywiązuje do człowieka ocelot. Zamieszkuje on lesiste części Ameryki podzwrotnikowej. Wygląda jak mały jaguar, gdyż skórę ma centkowaną. Jeden z podróżnych opowiada w swoich pamiętnikach, że udało mu się nabyć w Ekwadorze młodego ocelota. Początkowo trzeba go było karmić mlekiem, już jednak po miesiącu zabrał on się do jedzenia mięsa, a wtedy zaczęła odzywać się w nim dzika i krwiożercza natura. Najchętniej jadał żywe ptaki. Po niejakim czasie przywiązał się tak do swojego pana, że sypiał u jego łóżka. W ciemne noce zachowywał się dość spokojnie, gdy jednak księżyc świecił, zaczynał wyprawiać harce i dopiero po odpowiedniem skarceniu właził pod koc i zasypiał już spokojnie. Nie pozwalał zbliżyć się nikomu do swojego pana, okazując mu na każdym kroku wdzięczność i przywiązanie. W jakiś czas potem podróżnik ów zmuszony był udać się w dłuższą podróż, wobec czego podarował ocelota jednemu ze znajomych. Od tej chwili ocelot spospępniał. Przestał przyjmować pożywienie i z dnia na dzień marniał coraz bardziej, wreszcie wychudzony niełosiernie, zdechł z wycieńczenia. Wypadek ten nie jest odosobniony, ocelty bowiem umieją sercem odwdzięczać się za serce.



Oswojony ocelot. Drapieżnik ten żyje w południowej Ameryce

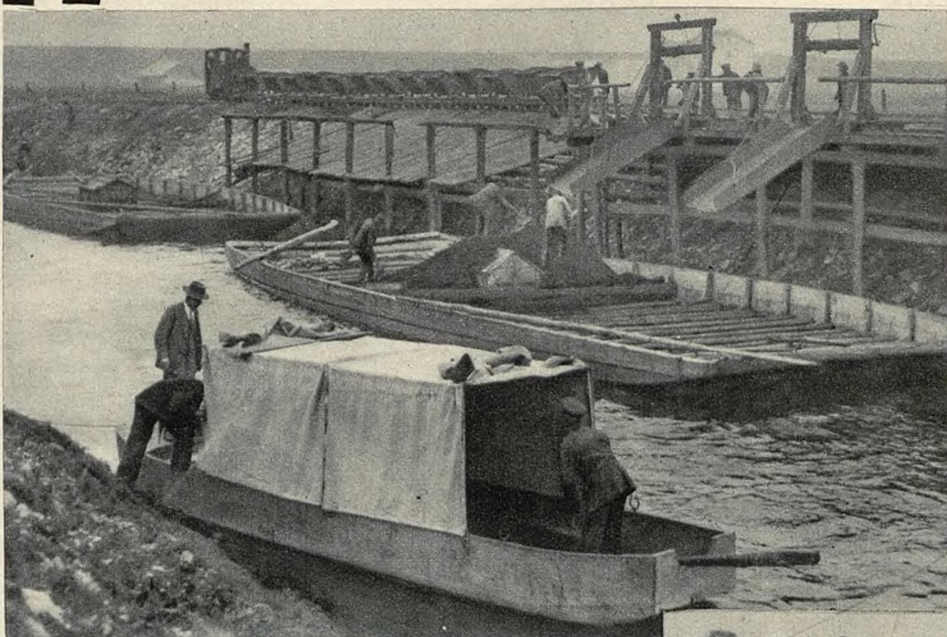
WYTWORNA PRZEMSZA I DZIKA WISŁA.

Stanowczo za mało dbamy o Wisłę, naszą „wierną rzekę“, którą mianowaliśmy nawet „królową“ innych jej u nas siostrzyc i... dopuszczamy, iż prawie w trzech częściach jej 1000-kilometrowej długości, robi wrażenie — dziadówki i złośliwej histeryczki.

Zamiast być spławną arterją komunikacyjną, transportową i turystyczną, Wisła — jest wciąż, jak za czasów Klonowicza i jego „Flisa“, nieopanowaną dzikuską, a przez to przyczyną wielu strat i katastrof powodzi.

Mimo, że od czasu do czasu odzywają się alarmy w społeczeństwie o niebezpieczeństwie, wynikającem z tego stanu dla okolic nadwiślańskich, alarmy popierane zresztą okropnym argumentem „zalewów“ jej wód w porze wiosennej i groźnej zawsze „Świętojanki“, t. j. powodzi czerwcowej, prace regulacyjne bardzo słabo były prowadzone, ostatnio zaś zupełnie stanęły wskutek... braku kredytów, udzielanych coraz skąpiej przez „miarodajne sfery“.

Obecnie doszło do tego, że Wisła na głównym jej odcinku od Warszawy aż po Kraków i dalej w górnej części — do Oświęcima, stała się niezdatną do użytku. Wszelki ruch jej wątłej „floty“ zamarł obecnie zupełnie, gdyż zdziczałe wody tworzą groźne dla żeglugi rozlewiska i przemiały, oraz ciągnące się kilometrami mielizny i ławy piaszczyste. Ustała praca pogłębiarek, gdyż Urzędy wodne i Dyrekcje otrzymują ostatnio tak małe sumy, iż wystarzą one ledwie na opłacenie stróżów rzecznych.



Przeładowywanie węgla na Przemszy. Dowożony jest on do przystani kolejką wąskotorową a następnie spławiany Przemszą do Wisły.

Rzeka Przemsza, jedyna z polskich rzek uregulowana w całości. Wpada ona do Wisły pod Oświęcimem.

Zdjęcia Ag. Fot. „Światowida“.



Takie niespodzianki, jak kłoda stercząca z wody czyhają na galary i nieostrożnych żeglarzy, na zaniedbanej i nieuregulowanej Wiśle.

Zaniedbanie Wisły bolesne jest bardzo w górnej jej części, gdyż tam niszczeje dokonana jeszcze przez rząd zaborczy i uzupełniana przez rząd polski, regulacja znacznej części brzegów, a mieszkańcy okolic nadbrzeżnych i niemal bezrobotni — oficjalni opiekunowie rzeki, ze wspomnianych urzędów, którym brak funduszów paraliżuje najlepsze chęci, ze ściśniętemi sercami patrzeć muszą, jak praca wielu lat i znaczne wkłady idą na marne, pomnażając grozę i wciąż wiszącego nad osiedlami pobrzeżnemi niebezpieczeństwa powodzi.

Plany regulacyjne są wykończone do najdrobniejszych szczegółów, są ludzie, t. j. wytrawny, zapalony i oddany rzece personel Urzędów wodnych i Dyrekcji, jest materjał, t. j. kamień i szuter znoszony przez górne dopływy Wisły i przygotowany w kamieniołomie przy Górze Ratowskiej — idzie więc tylko o fundusze, gdyż bez nich nic zrobić nie można.

Jęk przyjaciół, entuzjastów, opiekunów i sąsiadów Wisły winien trafić do „miarodajnego ucha“.

Ratunku dla Wisły! Hallo!!

S. Now.



Cechowanie nowych galarów.

JAK POLSKA WITAŁA POR. ŻWIRKĘ.

Lotnisko w Staagen pod Berlinem. Pomimo deszczu zebrały się tłumy publiczności, aby uczestniczyć w zakończeniu rajdu awjonetek naokoło Europy. Podniecenie jest ogólne. Niektóre dzienniki wydały nadzwyczajne wydania, zapowiadające, że za chwilę rozstrzygnie się pojedynek lotniczy pomiędzy Polską a Niemcami, a ściśle biorąc, pomiędzy por. Żwirko, a zeszłorocznym mistrzem Morzikiem. Jak dotąd, wedle urzędowych komunikatów, pierwsze miejsce zajmuje „der Pole Żwirko".

Rozpoczyna się ostatnia próba, która zadecyduje o zwycięstwie, mianowicie próba szybkości. Jest powszechną tajemnicą, że szanse Polski w tej próbie są minimalne, ponieważ maszyny niemieckie mają silniki znacznie silniejsze i mogą rozwijać ponad 250 km. na godzinę. Niemniej jednak fachowcy niemieccy są pełni melancholji.

— Z tym Polakiem będzie jednak trudna sprawa, słychać głosy.

— Podobno ten Żwirko był w czasie wojny podoficerem w armji naszej?

— To wierutne kłamstwo, odpowiada ktoś lepiej wtajemniczony, Żwirko pochodzi z Wileńszczyzny.

— Ach, so!

Ale oto nadchodzi decydująca chwila. Żwirko a zanim zaraz Morzik i Poss wznoszą się do lotu i za chwilę znikają na horyzoncie. Teraz podniecenie dochodzi do zenitu. Chodzi przecież o grubą stawkę! O prymat w lotnictwie europejskiem! Odpadli już Włosi, nie odegrali większej roli Francuzi, nie okazali żadnej ekstraklasy Czesi, pozostali tylko Polacy. Wystawili ekipę, złożoną z pięciu lotników, lecących na polskich aparatach.

— Cóż mogą być warte te polskie aparaty i ich konstruktorzy? Co się im równać z niemieckiemi konstruktorami, którzy posiadają markę pierwszą w świecie, z których warsztatów wyszły Zeppeliny, Junkersy, Dorniery a teraz szybkie Heinkle! Jest godzina 16.40. Nagle na horyzoncie ukazuje się mały punkcik.

— Lecą, lecą, rozlegają się okrzyki.

— Ale kto! Polak, czy Niemiec?

Setki lornetek skierowuje się na mały punkcik, który tymczasem zaczyna rosnąć i zbliżać się. Fachowcy wiedzą już wszystko, ale milczą. Publiczność jeszcze łudzi się, że to jednak Morzik...

Ale już najbliższy moment przynosi jej rozczarowanie. Na ziemi siada twardo srebrzysty aparat, oznaczony literami „RWD." Teraz już nie ulega żadnej wątpliwości, że zwyciężył Polak. Tłum jednak umie być bezstronnym i sprawiedliwym. Rozlegają się bowiem oklaski, a potem okrzyki: Heil!

Komisja sportowa kończy tymczasem swoje żmudne obliczenia, z których wypada, że pierwsze miejsce zajął Żwirko, a następnie Morzik i Poss. I oto teraz licznie zebrani przedstawiciele polskiej kolonji w Niemczech przeżywają niezapomnianą chwilę. Na wysoki maszt dźwiga się wolno polska chorągiew państwowa, w powietrzu zaś rozlegają się poważne tony hymnu: „Jeszcze Polska nie zginęła"... Publiczność wstaje z miejsc, głowy odkrywają się. W skupieniu i powadze słuchają wszyscy hymnu polskiego. Polskiego hymnu w Berlinie!

A potem nowa fala entuzjazmu. Por. Żwirko odbiera gratulacje. Wieczorem na cześć zwycięzców odbywa się bankiet. Sprawiedliwość każe przyznać, że Niemcy zachowują się jak dżentelmeni. Następuje prawdziwe zbratanie pomiędzy zawodnikami, którzy stanowią teraz jedną wielką rodzinę pionierów postępu, wytyczających nowe drogi ludzkości.

W kilka dni później por. Żwirko ląduje w Poznaniu. Jest teraz na ustach wszystkich. Rozmawiają o nim osobistości oficjalne, młodzież, dzieci, chłopi i robotnicy.

— Teraz — mówi zawsze dobrze poinformowany kelner Franciszek do stałych bywalców w kawiarni — poprawi się wszystko. Jak zagranica zobaczyła, co my potrafimy — bo to proszę pana pierwsze miejsce, to nie jest byle co — to da nam i pożyczkę, a polskie aparaty będą rozchwytywane po całym świecie, bo to proszę pana — wodą ze sokiem zaraz służę — pierwsze miejsce, to nie byle co. Pobiliśmy przecież Niemców i Włochów.

— No, pobiliśmy.

— No i uratowaliśmy Francję. No, bo ona znalazła się na ostatniem miejscu, a dzięki naszemu zwycięstwu, to się to jakoś wyrówna. Bo to, proszę pana pierwsze miejsce, to nie jest byle co.

O tem, co się działo w ubiegły wtorek w Warszawie, trudno pisać. Warszawa poprostu szalała. Kilkudziesięciotysięczne tłumy przerwały kordony policyjne, wpadły na lotnisko i porwały na ramiona por. Żwirkę, niosąc go wśród radosnych okrzyków do miasta. Przez te tłumy, nękane bezrobociem, kryzysem i niepewnością położenia, przeszła fala optymizmu.

Nie jest przecież w tej Polsce tak źle. Pomimo niezliczonych trudności, jakoś przecież dźwigamy się. W międzynarodowych konkurencjach coraz częściej polskie nazwiska wysuwają się na czoło. Kusociński, Walasiewiczówna, a teraz Żwirko! Więc jednak nie na darmo idzie ten przeolbrzymi trud budowania ojczyzny. Nie jako ostatni biegniemy w wyścigu narodów, wyścigu pracy i postępu. Więc jednak umiemy wykrzesać z siebie maksimum wysiłku i deptać po pięcie już nietylko Europie, ale i światu...

* * *

Idą sobie przez Nowy Świat dwie Warszawianki, ładne i zgrabne. Jedna z nich niesie z triumfem małą karteczkę.

— Widzisz, mam tu jego autograf — Żwirki. Wpisał mi się do pamiętnika. Wy Czytelnicy wpiszcie się wszyscy do Ligi Obrony Powietrznej Państwa. Podpis Wasz jest tam bardzo potrzebny, jeżeli chcecie, aby na przyszły rok polskie imię znowu zostało okryte sławą.

J. L.

Olbrzymie tłumy, oczekujące na lotnisku warszawskiem przybycia zwycięskiej ekipy lotniczej



Por. Żwirko na lotnisku w Poznaniu. Trzyma on w ręku dyplom honorowy m. Poznania. Na prawo przed mikrofonem inż. Wigura, jeden z konstruktorów zwycięskiego aparatu.

Por. Żwirko, niesiony na rękach rozentuzjazmowanego tłumu na lotnisku warszawskiem.



Dnia 28. sierpnia b. r. Aeroklub niemiecki przyjmował bankietem uczestników lotu dookoła Europy. Na zdjęciu moment przemówienia kierownika Wydziału lotniczego w Ministerstwie Komunikacji dyr. Brandenburga. Pierwszy od lewej por. Żwirko, obok niego mjr. von Kehler, prezydent Aeroklubu niemieckiego, trzeci z rzędu Reinhold Poss, zdobywca drugiego miejsca. Pierwszy od prawej gen. von. Mittelberger, przedstawiciel Ministerstwa Obrony Państwa. The New York Times.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



NOWA OFIARA NAUKI. Watkins, szef arktycznej ekspedycji angielskiej, która przebywa w Grenlandji, utonął w tych dniach w czasie polowania na psy morskie. Strata ta jest dla Anglj bardzo bolesną, gdyż Watkins pomimo swojego młodego wieku, liczył bowiem wszystkiego 25 lat, należał do nieustraszonych podróżników i zapisał się chlubnie w badaniach nad Grenlandją, która pochłonęła już tyle ofiar.



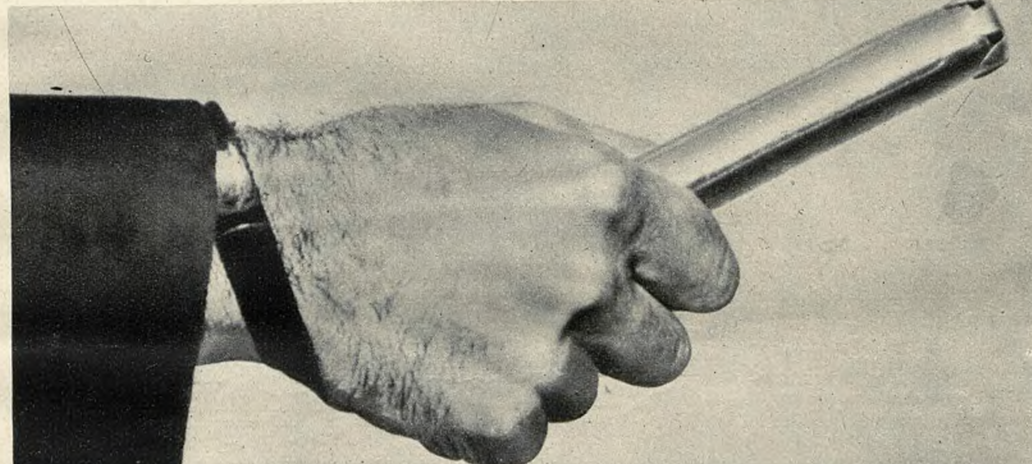


MANEWRY ARMJI WŁOSKIEJ. W rejone Alp Julijskich i Umbryjskich odbyły się w obecności króla i Mussoliniego (na zdjęciu) wielkie manewry, w których brało udział 50 tysięcy żołnierzy, mając za zadanie obronę Rzymu przed nieprzyjacielem, wdzierającym się do Włoch od wschodu. Mussolini, który w czasie wojny służył w 22 pułku piechoty jako kapral, przyłączył się w czasie manewrów do tego pułku, wziął tornister od jednego z żołnierzy i maszerował na czele oddziału.

PIATILETKA I DOLARY. Pomimo, że Stany Zjednoczone Ameryki Północnej dotąd oficjalnie nie uznały Sowietów, przecież tylko dzięki kapitałom amerykańskim Rosja może kontynuować prace przewidziane w piatiletce, a zmiarzające do uprzemysłowienia tego kraju i wykorzystania jego bogactw naturalnych. Z pośród podjętych prac na pierwsze miejsce wysuwa się t. zw. Magnitostroi, czyli zakłady przemysłowe, mające na celu eksploatację żelaza z Góry magnetycznej na Uralu. Obecnie roboty te dobiegają końca. Przedewszystkiem wykończono olbrzymią tamę (na zdjęciu). Długość jej wynosi 6 km. Służy ona do spiętrzania wód Uralu. Tama ta została wybudowana przez amerykańskie towarzystwo „Mac Kee Company".



WYWCZASY JÓZEFINYI BACKER. Słynna tancerka murzyńska Józefina Backer, która przed kilku laty królowała na scenkach i scenach Paryża, obecnie wyszła już z mody, ustępując miejsca innym kolorowym gwiazdom, bardziej egzotycznym i.. młodszym. Przezorna jednak Józefina zdołała zaoszczędzić sobie spory kapitalik, dzięki czemu może pędzić życie beztroskie i nie przejmować się ani kryzysem, ani chwilowem bezrobociem. — Obecnie przebywa ona w Juan les Pains, gdzie otacza się rojem malców, uważając, że jest jej z tem do twarzy.



PAŁKI DLA LISTONOSZY. Listonosze wiedeńscy, roznoszący pieniądze, otrzymali dla swej obrony pałki stalowe. W ostatnich czasach bowiem zdarzały się coraz częściej wypadki napadów na listonoszy. Czy ta broń, którą widzimy na zdjęciu, okaże się przydatną, można wątpić. W ręku bowiem starego człowieka, a takimi są przeważnie listonosze, nie będzie ona zbyt groźną dla zdecydowanych na wszystko bandytów, uzbrojonych w rewolwery.



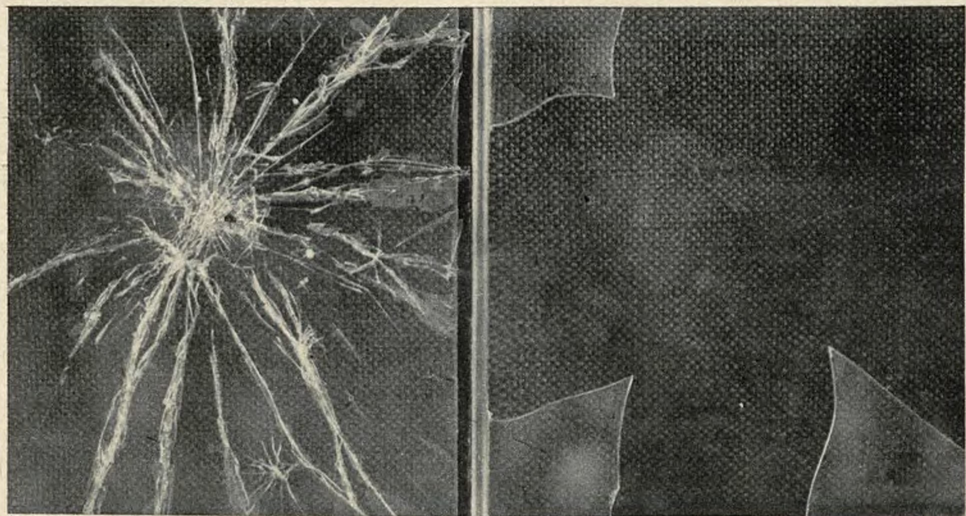
OTWARCIE TARGÓW LIPSKICH. Fala optymizmu, która rozlała się obecne po świecie, przyczyniła się do ożywienia targów lipskich, które mając za sobą wiekowe tradycje, przyczyniają się do ożywienia międzynarodowego handlu. Pośród zwiedzających te targi przeważają jednak tego roku nietyle przemysłowcy, ile ciekawa publiczka, żądna sensacji i darmochy, t. zn. zaopatrująca się skwapliwie we wszelkiego rodzaju próbki rozdawane za darmo, jak mydła, perfumy, cukierki, tytoń itd. Zdjęcie nasze przedstawia ekspedjentkę, zalecającą publiczności tytoń do fajki i rozdającą jego próbki.

Feljeton tygodniowy. **BRUNO WINAWER.**

CODZIEŃ NOWA EPOKA!

Przysłano mi niewielką taflę szklaną z napisem: „Sekurit". W dołączonym do przesyłki opisie znajduję fotografję trzech dorodnych panów, którzy stanęli na szybie, położonej jak deska na dwóch stołkach: szyba się zgina pod ciężarem, ale nie pęka. Nowe szkło elastyczne, specjalnie widać jakoś studzone w hutach, jest jak stal nieomal sprężyste, nie rozpada się też na ostre, niebezpieczne odłamki, ale rozpryskuje się pod młotem na drobny, ziarnisty, niekaleczący miał — fabrykanci przeznaczyli je przedewszystkiem na szyby do samochodów.

Nie mogłem sprawdzić doświadczalnie, czy w danym wypadku opisy są w całej rozciągłości prawdziwe, czy doprawdy zyskaliśmy nagle nowy cudowny, przeźroczysty materjał... — Zresztą jeżeli się dziś nie uda z „sekurytem", to napewno się jutro powiedzie z topionym kwarcem, z którego już dziś wyrabiamy lampy rtęciowe, zwierciadła teleskopów, probówki, retorty, pryzmaty.



Szkło, które pod wpływem uderzenia nie rozpryskuje się na kawałki, tylko na drobny, niekaleczący miał.

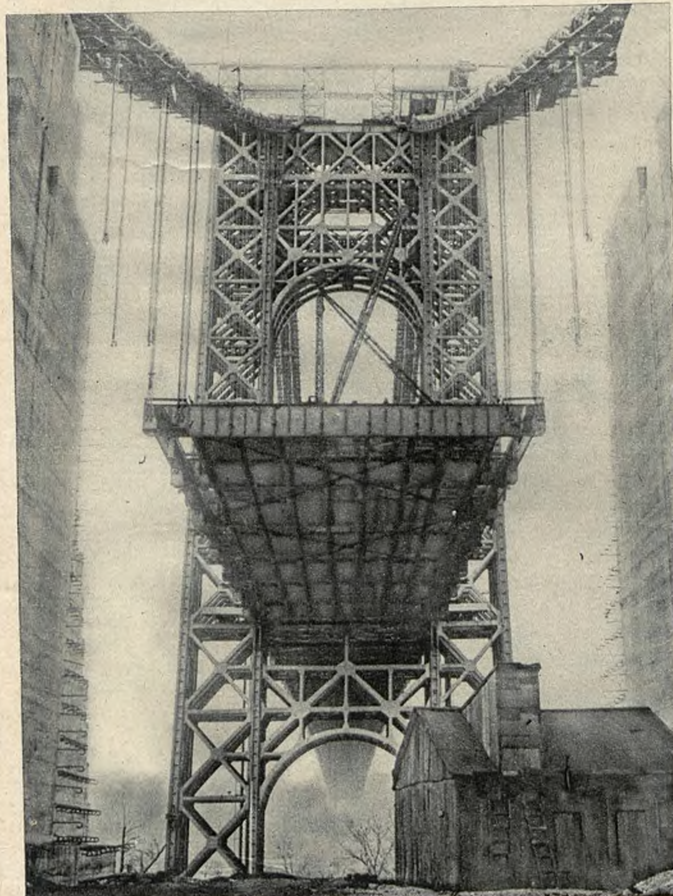
Rzecz zdumiewająca, jak technika współczesna panuje nad opornem, kapryśnem tworzywem, jak mu potrafi nadać cechy dowolne, jak je przekształca po mistrzowsku. Przez lat dziesiątki najpotężniejsze konstrukcje ulegały zniszczeniu, bo rdza przeżerała żelazo — nasz najważniejszy materjał budowlany. Kilka prób w laboratorjach i warsztatach doświadczalnych, kilka eksperymentów z różnemi domieszkami — i powstaje nagle stop „nierdzewiejący", stal błyszczy jak złoto, świeci na kopule wielkiego gmachu Chryslera w Nowym Jorku, ozdabia witryny wytwornych sklepów.

Przez długie lata szukano naprózno odpowiedniej masy izolacyjnej, aż wreszcie pewien inżynier-chemik pomieszał w retortach substancje o dziwacznych a przydługich nazwach i stworzył ów głośny w Ameryce „bakelit", z którego się robi papierośnice, ustniki, fajeczki, rączki do parasolek, guziki, płytki, tysiączne przedmioty.

Wypuszczamy rok rocznie miljony nowych samochodów na świat i już nietylko na dętki i opony, ale na przeróżne rurki elastyczne, połączenia, owijanie kabli, zużywamy oksefty cennego soku pewnej rośliny egzotycznej, zwanej „hevea" — ów kauczuk jest solą w oku inżynierów współczesnych. Nie lubią materjałów naturalnych — jak drzewo np. — nie lubią w maszynach włókien i soków roślinnych. Z Ameryki nadchodzi wiadomość, że po ośmiu latach wytężonej pracy udało się wreszcie przystosować do celów technicznych tiokol — substancję chemiczną. Produkt ma podobno wszystkie zalety, jest bardziej od gumy jednorodny w całej masie i można go otrzymywać w ilościach dowolnych z tanich surowców — a głównie: nie rozpuszcza się w gazolinie, nie pęcznieje, nie wietrzeje prędko.

Zważmy: każdy z tych szczęśliwych pomysłów, o których tu od niechcenia wspominamy, wywołałby dawniej przewrót, byłby może początkiem nowej ery. Badacze czasów zamierzchłych mówią przecież szeroko o tem, jak to w okresie „neolitycznym" człowiek nauczył się topić w ogniu łatwiejsze, „płynniejsze" metale: miedź i cynę. Ten skromny aljaż dał mu nowe, lepsze narzędzia, nową, lepszą broń, zapewnił mu niejedno walne zwycięstwo w walce o byt, niejeden triumf. Egipcjanie z doliny Nilu odbywali wędrówki dalekie po odpowiednią rudę — powoli wieść o stopie miedzi z cyną rozchodziła się po świecie, a z nią tym samym szlakiem szła cywilizacja. Nawet pewien olbrzymi okres w prehistorji nazwaliśmy epoką bronzową — i słusznie... „Metalurgja" poczciwa znaczy więcej w dziejach świata, niż ten czy ów Aleksander Macedoński.

Jak bardzo materjał, „budulec" wpływa na charakter epoki, jak zmienia gruntownie jej styl, stwierdziliśmy zresztą naocznie stosunkowo niedawno. Sprytni wynalazcy po długich kalkulacjach wpadli na myśl, że opór cementu „na ściskanie" można połączyć z wytrzymałością żelaza „na rozciąganie", że można nadziać beton drutami stalowemi i stworzyć bloki płyty, o jakich się dotąd nikomu nie śniło — „elastyczne granity". Jak za dotknięciem różdżki zmienia się cała architektura nowoczesna — widzimy płaskie dachy, szerokie otwory okienne, balkony „bez podparcia", słoneczne wnętrza. Znikają ponure gmachy „klasyczne", barokowe, secesyjne, znikają ciężkie kolumny, frontony, pilastry. Tak zwany żel-beton daje początek nowej ciekawej erze w budownictwie zmienia gruntownie i nasze domy, dworce kolejowe, miasta, formy życia i poglądy estetyczne. Najsprytniejszy jasnowidz nie wywróży dzisiaj, jakiemi drogami wypadki się dalej potoczą. Może owa tafelka „sprężystego" szkła zwiastuje już „domy szklane", o których opowiadał barwnie Stefan Żeromski w ostatniem dziele, może nauczymy się lepiej topić kwarc i będziemy układali jeszcze piękniejsze, świetliste płyty i kwadry z przeczystego szkła kwarcowego. Może rozwiniemy bardziej konstrukcje żelazne i zaczniemy fabrykować w Pittsburgu ponumerowane, standaryzowane części domków stalowych. A może pewien fantasta amerykański ma słuszność: potomni mieszkać będą w lekkich willach z galalitu, zakotwiczonych, żeby ich wicher nie porwał, ale przenośnych. Komu się nie spodoba jego hałaśliwa dzielnica, każe się przyczepić do samolotu, albo do zeppelina, podnieść kotwicę i pofrunie razem z „larami i peńatami" w ładniejsze okolice.

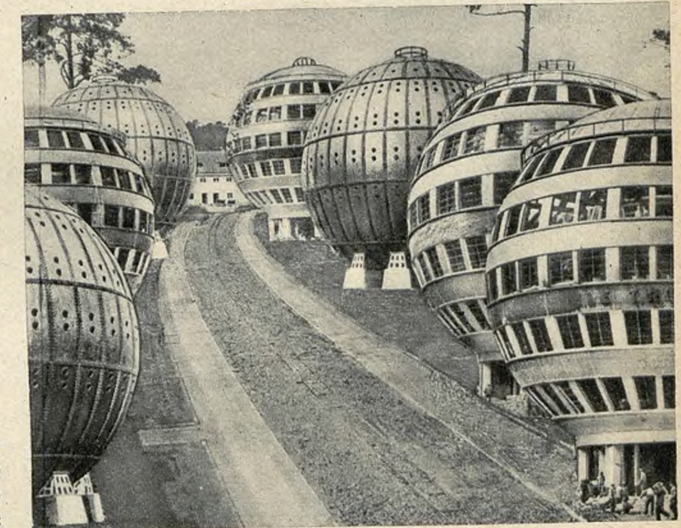


Dla techniki współczesnej niema żadnych przeszkód. Przerzuca ona mosty przez najdłuższe rzeki, opierając je na łukach, o wprost fantastycznych rozmiarach, Na zdjęciu most nad rzeką Hudson w Ameryce, którego łuk wynosi 3567 stóp.

Dalszy rozwój budownictwa jest też, oczywiście, ściśle zależny od rozwoju środków komunikacyjnych. W stuleciu ubiegłym miasto grupowało się naokoło dworca kolejowego, przez dłuższą chwilę mieliśmy wrażenie, że dotychczasowy dworzec centralny będzie zastąpiony przez centralny port lotniczy. Niektórzy przypuszczają, że miasta przyszłości otoczą wieńcem sadyb wodospady i stacje turbin i generatorów, jak dziś mieścina Niagara Falls w Stanach. Innych olśniewa wspaniały rozwój samochodu, wskazują na wciąż nowe tunele specjalne i „autostrady", myślą, coby to było, gdyby tak sama droga zaczęła nagle pędzić, jak chodnik ruchomy... Przechodzień bez wehikułu mknąłby w przestrzeń, nawet nie przebierając nogami. Od tych spraw zależy sztuka architektoniczna naszych wnuków.

To jednak nie zmniejsza faktu zasadniczego: gdybyśmy wzorem, przyjętym w prehistorji, chcieli nadać nazwę naszej epoce od „materjału" gdybyśmy chcieli ukuć termin w rodzaju „epoka bronzowa" — te terminy i nazwy trzebaby zmieniać co chwila. Żel-betonowa, kwarcowa, stalowa-nierdzewiejąca, szklana, galalitowa, gumowa... Albo: aluminjowa, berylowa, platynowa...

Żyjemy doprawdy strasznie szybko. Co godzina mijamy jakiś wielki okres dziejowy i wcale tego nawet nie spostrzegamy.



Pierwsza nowa ulica domów kulistych w Dreźnie. Niesamowite kształty tych domów, nie zdają się zachęcać do mieszkania, nawet najodważniejszych pionierów postępu.

NA GROBIE SIEDMIU ZASTRZELONYCH.

Wielka flamandzka manifestacja narodowa, która odbyła się w dniu 23 sierpnia w Dixmuiden z okazji przeniesienia zwłok siedmiu flamandzkich żołnierzy armji belgijskiej do krypty pod krzyżem Izerskim, dowodzi, że obok ciężkiej kwestji socjalnej, także i narodowościowa doznała w ostatnich czasach w Belgji wielkiego zaostrzenia.

Belgja nie jest narodowo jednolitą. Całą jej północ od morza, aż do granicy niemieckiej, więc dwie trzecie terytorjum państwowego zamieszkują Flamandowie, zwani także Flamami, jedną zaś trzecią na południu zajmują Walonowie. Flamandowie należą do kręgu kultury germańskiej, mówią językiem holenderskim. Walonowie należą do kultury romańskiej i mówią językiem francuskim. Nie mniej obie narodowości podkreślają silnie swoją niezależność — jedna od Holendrów, druga od Francuzów.

Historja Belgji ostatnich lat stu pięćdziesięciu dała prymat polityczno kulturalny w kraju Walonom. Już na długo przed wojną światową burzyli się i buntowali przeciw temu prymatowi Flamandowie, domagając się równouprawnienia językowego i kulturalnego, ale dopiero podczas czteroletniej przeszło okupacji niemieckiej belgijska kwestja narodowościowa zaostrzyła się ostatecznie, przybierając obecny kształt twardej walki obu narodowości.

Niemieckie władze okupacyjne nie omieszkały skorzystać z rozdwojenia narodowościowego Belgji, aby przez popieranie separatyzmu Flamandów germańskich zabezpieczyć sobie sojuszników w przyszłości. Polityka ta oparta na starorzymskiej, tyle razy stosowanej zasadzie „divide et imperia", znajdowała niestety mimowolne poparcie u belgijskiego rządu, który podczas wojny rezydował w Hawrze i będąc złożony z samych niemal Walonów, tem ostrzej przeciwstawiał się żądaniom flamandzkim, im silniejsze znajdowały one poparcie na obszarze okupacji niemieckiej. W ten sposób stary spór językowo kulturalny stawał się szybko ciężką i zajadłą walką polityczną.

Mimo zabiegów okupantów niemieckich, narodowy ruch flamandzki nawet reprezentowany przez swoje najbardziej radykalne skrzydło, nie poszedł nigdy całkowicie w służbę niemiecką.

Podobnie jak podczas okupacji niemieckiej w Polsce tak i w Belgji Flamandowie podzielili się na dwa obozy polityczne — pasywistów i aktywistów. Pasywiści zachowywali się wobec polityki niemieckiej filoflamandzkiej odpornie, nie chcąc współdziałać z najeźdźcą wspólnej ojczyzny belgijskiej i odkładając załatwienie sprawy narodowościowej, aż do zawarcia pokoju. Natomiast aktywiści uważali, że należy wyzyskać filoflamandzką politykę niemiecką dla stworzenia jak największej ilości faktów dokonanych i zdobycia pozycyj narodowych tak silnych, aby potem Walonowie nie mogli ich już odebrać.

To też, gdy okupanci niemieccy wprowadzili język flamandzki, jako wykładowy na uniwersytecie w Gandawie, aktywiści flamandzcy z entuzjazmem przyjęli tę zdobycz, pasywiści zaś zachowali się wobec niej z więcej niż chłodną rezerwą. Tak samo, gdy za zgodą okupantów niemieckich utworzona została Rada narodowa flandryjska, mająca stanowić nawiązek przyszłego rządu w niezawisłej Flandrji, aktywiści skwapliwie obsadzili tę radę, pasywiści zaś pozostali w domu.

Ale także i najskrajniejsi aktywiści flandryjscy sprawili zawód okupantom niemieckim, bo Rada narodowa flandryjska zamiast uchwalić przyłączenie się do Niemiec, uchwaliła utworzyć niepodległe państwo flamandzkie w unji personalnej z Holandją...

Gdy jednak okupanci niemieccy robili do złej gry dobrą minę i uważali, że w danym razie należy zadowolnić się chociażby i takim tylko objawem separatyzmu flamandzkiego, to belgijski rząd królewski w Hawrze rozwijał wielką surowość i usiłował za wszelką cenę stłumić przejawy separatyzmu i irydentyzmu flamandzkiego, szczególniej niebezpiecznego w szeregach armji belgijskiej, w której większość stanowili Flamandowie. Na rozkaz też rządu belgijskiego rozstrzelano kilku członków Rady narodowej flamandzkiej. Siedmiu zaś żołnierzy, którzy usiłowali przekraść się przez linje niemieckie, aby wziąć udział w posiedzeniach tej Rady, zastrzelono z tyłu w chwili, kiedy zbliżali się do linij niemieckich.

Właśnie ciała tych siedmiu żołnierzy przenoszono teraz tak uroczyście z ich wspólnego grobu w polu do krypty pod kaplicą pamiątkową, uwieńczoną ogromnym krzyżem nad Izerą.

Bezpośrednio po wojnie spór narodowościowy przybrał w Belgji formy bardzo ostre i brutalne. Francuscy Walonowie, upojeni zwycięstwem i ufni w poparcie Francji, zaczęli brać na Flamandach odwet, usiłując odebrać im już zdobyte prawa narodowościowe, nawet starając się wyprzeć ich z uniwersytetu w Gandawie, który okupanci niemieccy oddali Flamandom. Walka narodowościowa nie zatrzymała się nawet przed pomnikami żołnierzy, poległych na wojnie w obronie niezawisłości wspólnej ojczyzny.

Flamandowie mianowicie pozacierali francuskie napisy na pomnikach tych grup żołnierzy, których uważano za przynależnych do narodowości flamandzkiej i zamiast francuskich słów „Mort pour la Patrie" wypisali na tych pomnikach „Alles vor Flaandern en Flaandern vor Kristus" — wszystko dla Flandrji a Flandrja dla Chrystusa". Naczelne władze wojskowe nakazały jednak porozbijać pomniki z pozmienianymi w ten sposób napisami, w odpowiedzi na co znowu Flamandowie zebrali te porozbijane części pomników i poskładali je na widocznych miejscach w różnych kościołach..

Na wspólnym grobie owych siedmiu flandryjskich żołnierzy armji belgijskiej, którzy jesienią w roku 1917 usiłowali przedostać się przez linje niemieckie, aby wziąć udział we Flandryjskiej Radzie narodowej, pomnik urzędowy doznał takiego samego losu. Walonowie napisali na nim po francusku, że są to polegli za ojczyznę. Flamandowie zaś w kilka lat później wydrapali ten napis, umieszczając na jego miejscu swój flamandzki według powyższego tekstu. W rezultacie także i ten pomnik został rozbity, a połamane jego części przeniesione przez Flamandów do świeżo zbudowanej kaplicy pamiątkowej nad Izerą.

Wreszcie Flamandowie umyślili przenieść do podziemi tej kaplicy także i ciała tych siedmiu żołnierzy. Dnia 23 sierpnia przy udziale przeszło stu dwudziestu tysięcy Flamandów, którzy zjechali z różnych stron kraju, odbyła się uroczystość ekshumacji tych siedmiu poległych i przeniesienia ich szczątków do kaplicy nad Izerą, gdzie na cześć ich wystawiono nowy pomnik z napisem już całkiem wyraźnym: „Tu leżą ich ciała jako posiew w ziemi. Oczekuj żniwa o Flandrjo!" Owem żniwem jest oczywiście oderwanie się Flandrji od Belgji i utworzenie albo własnego państewka, albo przyłączenie się do Holandji.

Raczej jednak to drugie. Na czele ogromnej procesji, która wyruszyła do kaplicy nad Izerą w Dixmuiden, niesiono sztandar domu Orańskiego, panującego w Holandji. W ten sposób jasny i niedwuznaczny podkreślono separatystyczny i antybelgijski charakter całej manifestacji, którą jednak tym razem władze belgijskie tolerowały, nie czując się na siłach podejmowania, obok obecnych strajków i wielkiego wrzenia socjalnego jeszcze ostrej walki narodowościowej.

Nacjonalizm flamandzki upaja się więc zwycięstwem, bo postawił na swojem przeciw nacjonalizmowi walońskiemu, ale Belgja odczuła w tym dniu brak jeszcze jednego sprzęgła,, utrzymującego jej jedność, więc także i niepodległość państwową.

Przy całym szacunku i sympatji, jakie można mieć dla wyzwoleńczych ruchów narodowych, niepodobna jednak nie wiedzieć, że dzisiaj są one jednym więcej czynnikiem tego niepokoju i zamętu, pod skutkami których tak bardzo cierpi cała Europa. *Pom.*



Flamandowie manifestują w Dixmuiden za przyłączeniem Flandrji do Holandji. R. Sennecke, Berlin.


W tych dniach odbyła się w Dixmuiden olbrzymia manifestacja (na zdjęciu) Flamandów, przy udziale 250 tysięcy osób. Przybyli oni na grób siedmiu żołnierzy belgijskich, którzy w r. 1917 zostali zastrzeleni za sprawę wyzwolenia Flandrji. Scherl, Berlin.

SZAŁ TAŃCA W JASTARNI.

Tłumy tańczących na molo w Jastarni.

Gdy będziemy znów we dwoje...

Zabawa w przeplatanego na piasku.

Jastarnia ma tłumy wiernych wielbicieli nie dlatego, że posiada cudną plażę i piękny las, nie dlatego, że słone fale Bałtyku i gorące promienie słońca farbują skóry wygrzewających się na piasku ciał na wszystkie odcienie pomarańczy i czekolady. Cały półwysep ma ten sam piasek, to samo słońce. Ale tylko jedna Jastarnia ma tą oczarowującą każdego, kto żyć jeszcze potrafi, atmosferę beztroskiej zabawy, która pulsuje tu młodym, niepohamowanym potokiem od zachodu do wschodu słońca, a właściwie od piątej po południu do piątej rano.

Bo o piątej po południu rozlegają się pierwsze wesołe dźwięki saksofonowej fanfary „na molo". Tak w skrócie nazywa się perła Jastarni — przecudny dancing na przystani „Żeglugi polskiej". Gładka płyta taneczna z brązowych kafli, naokoło niej, lśniące w blaskach słońca białe blaty stolików, lekki w linjach budynek pawilonu, kryjący w swem wnętrzu wspaniale zaopatrzony bar, falanga kelnerów w białych kitlach i doskonały jazz — czekają...

Z zatoki dobiega ryk syreny okrętowej — tò „Wanda", wioząca pasażerów z Gdyni na dancing do Jastarni, wchodzi do portu. Parę zręcznych manewrów i biały cud przybija do przystani. Żądna zabawy młodzież od lat szesnastu do sześćdziesięciu zbiega z górnego pokładu statku na przystań i w lot zajmuje najlepsze stoliki. Za chwilę zaczynają nadciągać stuprocentowi Jastarniacy i wokół brązowej płyty tanecznej wykwita bajecznie kolorowy ogród różnobarwnych sukienek, pyjam i sportowych koszul.

Nagle z estrady przytulonej do pawilonu tryskają pierwsze takty foxtrotta. W parę chwil potem przy stolikach zostają tylko panie, smętnie popijające „Chabeso". Przypomina się refren piosenki rewjowej: „Statystyka mówi, że mężczyzn jest mniej" — a w Jastarni na trzy panie jest jeden tańczący pan!

A w tanecznem kolisku mienią się wszystkiemi barwami tęczy rozkoszne pyjamy i powiewne sukienki tych szczęśliwych, którzy tańczą.

Przed wirującemi w tańcu oczyma przewija się zmienny kalejdoskop roześmianych słońcem obrazów. Oczarowuje wzrok równa, granatowo-zielona tafla zatoki. Chwieje się na ledwo dostrzegalnych falach szlak płynnego złota, biegnący od molo aż do horyzontu, a nad nim na nieskalanym najdrobniejszą chmurką błękicie, unosi się złota kula — źródło radości — słońce. Migają wokoło rozbawione twarze znajomych, to znowu nad tłumem głów ukaże się biały kontur „Wandy", stojącej przy molo.

Ale oto orkiestra urywa i wszystko nieruchomieje: „Wanda", słońce, zatoka, molo i samotne damy przy stolikach.

Rozbawieni tancerze krzyczą: „Dużo głosów, że mało"! — jazz podchwytuje melodję i taniec porywa nas znowu. Ale do trzech razy sztuka. Orkiestra też musi odpocząć — a brązowe kafle muszą otrzymać swoją porcję słońca. W tanecznem kole zostaje tylko tylko jedna uparta para: — „Sto procent tańczących mówi, że mało" — wołają w stronę estrady. Publiczność bije brawo i wybiega do tańca. Jazz po raz czwarty zaczyna grać. Przez tubę wybiegają słowa refrenu: „Ja jesteem tuman"...

A wokół dancingu cała armja „cameraman'ów". Trzaskają „Leiki" — to Foto-Mor, Foto-Hel, Foto-Sztuka, Foto-Artos i Foto-Katolik (tak się nazwał!) chwytają „in flagranti" uśmiechy i dąsy, główki i nóżki, pyjamy i pullowery. A kiedy z Gdyni przyjechał raz na fajf do Jastarni jakiś starszy pan we fraku, to zafotografowali go na śmierć.

Wśród słońca i jazzu, rumby i tanga, czas mknie, jak szalony. Złoty glob słońca poczerwieniał i zapada się w zatokę. Błękit nieba przechodzi na zachodzie w pomarańczowy lampas — robi się ciemniej — robi się zimniej. Rozlega się tuż nad uchem przeraźliwy ryk syreny — panie nerwowo chowają się w ramiona danserów. To „Wanda" wzywa pasażerów na pokład.

Jak na komendę jazz zmienia melodję. Płyną skoczne dźwięki niekoronowanego marsza Jastarni:

„Trawka zielona,
 raz, dwa, trzy...
On i ona,
 raz, dwa, trzy...
Przytuleni,
 raz, dwa, trzy...
Roznamiętnieni,
 raz, dwa, trzy...
serce puka
(tu bęben wali): buh, buh, buh,
a tato ich szuka
 raz, dwa, trzy".

Tańczący tłum zaczyna na własną rękę śpiewać nieoficjalne (i niecenzuralne) wersje refrenu. Nastrój rośnie do zenitu. Jeszcze parę kroków przetańczonych bez muzyki wśród nieludzkiego ryku dwóch kolejnych syren, zagłuszających wszystko — jeszcze parę taktów „zielonej trawki" i megafon z estrady oznajmia: — „Dalszy ciąg o dziewiątej". Nie pomagają natarczywe brawa. Saksofon i akordeony znikają w futerałach — muzycy idą do baru.

Dancing pustoszeje szybko. „Wanda" zapełnia się pasażerami, którzy obiecują powrócić jutro, a Jastarniacy rozbiegają się po pensjonatach, gdzie oczekuje na nich kolacja: — sakramentalny trójkąt rybi: flądra, dorsz i miętus z zielonym kręgosłupem.

Ledwo rozprawiwszy się z wieczornym posiłkiem „łaknący wypoczynku nad morzem" lecą na dancing wieczorny — jeżeli zimno i wiatr to do „Janiny" — jeżeli ciepło to znowu na molo, gdzie przy księżycu, pod czarnym baldachimem nocy, tańczą romantycznie przytulone pary.

Rozpisałem się tak o molo, jakby było ono alfą i omegą powabów Jastarni.

A tymczasem jest ich tyle, że o każdym z nich możnaby osobny felieton napisać, bo ta cudna wioseczka ma tyle uroku i tyle czaru, że stutomowy opis nie wyczerpałby tematu. Bo pomyśleć tylko:

Nocne spacery w stronę Kuźnic po „Komarowej Alei" (z przyległościami)...

Tajemnicze wędrówki po lasach Boru i Juraty, zakończone zwykle odkryciem polskiego Tahiti — cudnego brzegu zatoki tonącego w srebrze księżycowej poświaty...

Wesołe sabaty urodziwych czarownic na „Olimpie" (taki sobie 10-metrowy kopczyk z piachu tkwiący w środku lasu)...

Naoliwione, bezszumne zawiasy w gościnnie rozchylonych oknach parterowych pokoi w pensjonatach.

Drabiny podstawione przez krotochwilowego żartownisia pod okna cnotliwej matrony z córeczkami...

Niesamowite plotki obiegające nazajutrz przy stole...

— — — — — — —

A skoro tylko słońce usadowi się wygodnie na błękitnym nieboskłonie, przecudna, szeroka wstęga plaży, podziurawiona olbrzymiemi, jakby lejami od pocisków, wykopanemi przez opaloną armję nagusów — pokrywać się zaczyna mrowiem ludzkiem, żądnem słońca i wody. A naokoło uwija się natrętna horda bosonogich fotografów. Ci zacni chłopcy wyciągają z każdej kieszeni po parę złotych dziennie — ale kochają ich wszyscy, bo fotografują dobrze.

I kiedy patrzę teraz na przygotowane do fotomontażu zdjęcia — urywki z nadmorskiego życia, czuję jak mocno to życie pokochałem. Rozumiem teraz, dlaczego z okien odchodzących z Jastarni pociągów rozlega się zawsze głośne zawodzenie odjeżdżających. A cały peron odpowiada im nieludzkiem wyciem. Słyszę dzisiaj w tym ogłuszającym krzyku wyraźnie dominujące słowo: — „Znóóóóów".

Tak, jestem pewien, że za rok spotkamy się znów w Jastarni.

Amatorki słońca.

Wide World Photos, Paris.

W IMPERJUM ŻUBRA.



Rzadko w białowieskiej kniei odzywa się głos trąbki myśliwskiej. Tylko kilka razy do roku odbywa się tam polowanie reprezentacyjne z udziałem Pana Prezydenta Rzplitej.



Dolina rzeki Narewki, przepływającej przez puszczę Białowieską.



W sercu matecznika. Olbrzymi dąb zwalony przez burzę.

Do Hajnówki, stnowiącej niejako wejście do puszczy białowieskiej, przebyliśmy drogę bez szczególnych wrażeń. Tu dopiero zaczyna się jakieś niepokojące wychylanie się z okien wagonów to w tę, to w drugą stronę; zieleń odmienna bije w oczy, a woń, idąca wczesnym rankiem od ziół i kwiatów puszczańskich, odurza! Puszcza bierze nas odrazu w krąg swej władzy i trzyma na uwięzi, aż do chwili opuszczenia jej!

Stacja — Białowieża! Wysiadamy! Pomimo wczesnej pory nikt nie myśli o wypoczynku, bo słońce jasne pieści swem ciepłem sosny i dęby strzeliste, w niebo dumnie spoglądające i promieniami swemi otula krzewy z wonnym jaśminem na czele i kładzie się długiemi smugami po murawie, z której wyglądają skromnie niezliczone zioła i barwne kwiaty, zapach delikatny rozsiewające dokoła.

Niedługo dano hasło do wymarszu. Wyszedłszy z wygodnego schroniska turystycznego i okrążywszy śliczny malowniczy stawek, który się rozlał z Narewki, podążamy w stronę parku, mijając co najpiękniejsze dęby i graby, sosny i świerki, brzozy i klony — wszystkie wyniosłe, wszystkie wysmukłe i rosłe, u szczytu w koronę z liści lub szpilek zdobne. Bo drzewa puszczy białowieskiej są zupełnie różne od wszystkich innych drzew! Z powodu „ciżby" ogromnej, jaka panuje na całej przestrzeni puszczy, drzewa puszczańskie chytrze i mądrze rosną raczej w górę, aniżeli wszerz, pnąc się do słońca w obawie, aby siostrzyce nie uprzedziły ich i nie zabrały „okienka" do słońca. Wystrzeliwszy zaś potężnie w górę, wysila się z kolei każde z nich dopiero „na tuszę", dochodząc nieraz do wcale pokaźnych rozmiarów, jak widać na licznych okazach dębów, sosen i świerków, zachowanych w dziewiczym stanie w przepięknym Parku Narodowym. Kilkuletnia gospodarka niemiecka tak bardzo nadwyrężyła drzewostan i faunę puszczy, iż władze nasze postanowiły po objęciu jej celem uratowania jedynej w swoim rodzaju „curiosite" w środkowej Europie, założyć Park Narodowy na terenie, nietkniętym jeszcze siekierami okupantów.

Polem złocistem zbliżając się do potężnej ściany Parku, przy której straż trzymają nieruchome, wszystkiemi odcieniami zieleni jaśniejące drzewa, podziwiamy ostrza i dzidy świerków, które dobrze pamiętają jeszcze Najjaśniejszą Rzeczpospolitą i wspaniałe łowy królewskie i opiekuna tych kniei Tyzenhauza, który za króla Stanisława Augusta straże leśne ustanowił, pamiętają białych carów, którzy z umiłowaniem w lasy białowieskie szli na polowania, szkody im jednak nijakiej nie wyrządzając. Pamiętają też łoskot walących się pni i tępy huk siekier od rana wczesnego do zmroku — to Niemcy tak cięli puszczę! Sosny i świerki, którym ręka niemiecka nie zdołała zadać ciosu śmiertelnego, uradowane, że nie tknął ich nawet kornik, złośliwy szkodnik puszczański, zakorzeniony z powodu nieuprzątnięcia kory, leżaniny, posuszu i odpadów, wyciągają dziękczynnie ramiona w podziękę ku Niebu za ocalone życie i zdrowie.

U stóp przepotężnych drzew, które stanowią o królewskości puszczy, rozsiadły się liczne krzewy, leszczyna, jarzębina i kalina, które nachylają się pieszczotliwie ku rozłożystym paprociom, rozsiadłym u ich podnóża wśród porostów, mchów, ziół różnorodnych, nadających, zależnie od pory roku, barwę poszycia boru. Po niebieskim kobiercu, utkanym z przelaszczek idą białe i żółte zawilce, po nich wonna konwalja i niemniej pachnące groszki różowawe. Biała marzanna walczy znów o lepsze z czerwienią poziomek, tworzących ogromne skupiny i kępy. Te knieje tchnące czarem i urokiem, odurzające intensywną wonią ziół, wśród których prym trzyma sławna żubrówka, byłyby mimo wszystko martwe, gdyby nie przebogaty świat ptaków, zwierząt i motyli, które z kwiatka na kwiatek przenosząc tajemnicze szepty, wnoszą w życie puszczy niebywałe ożywienie i wdzięk. A zdobna i strojne są motyle puszczańskie! Najzalotniej zaś ze wszystkich ptaków wystąpił bataljon, których bogatą kolekcję o pierzastych kryzach wielobarwnych posiada Muzeum w Białowieży, gdzie podziwiamy również wspaniały okaz żubra, zanim spotkaliśmy się z nim nazajutrz oko w oko w Zwierzyńcu żubrzym, gdzie te dzikie, ogromne zwierzęta na pozór łagodne i ciche, przechadzały się spokojnie, niepłoszone naszą obecnością.

Żubry nie drażnione, ani prowokowane przez nikogo, pozwalały nam przyglądać się spokojnie. Królewski ten zwierz kniei białowieskiej, któremu dzięki straszliwej gospodarce niemieckiej groziła zupełna zagłada; pomimo, iż z wybuchem wojny było ich przeszło 700, poczyna się znów rozmnażać tak, że łącznie ze stadem żubrów pszczyńskich na Śląsku, posiada Polska obecnie największą ilość żubrów na kontynencie europejskim.

W powrotnej drodze ze Zwierzyńca żubrzego, zawadziliśmy o piękny, suchy bór sosnowy, który w południowem słońcu wydał się jeszcze barwniejszy i jaśniejsza zieleń jego, przeglądająca się w dobroczynnych promieniach, kładących się swym cieniem po ziemi, porosłej czarnemi jagodami, poziomkami i wonnem zielem, wśród którego króluje nadewszystko żubrówka, tak ukochana przez imperatora puszczy.

Niedługi wypoczynek po trudach jazdy na prymitywnych furkach chłopskich, jak również od komarów, które na ogromnych przestrzeniach bagiennych borów dały nam się dotkliwie we znaki, przywrócił nam wkrótce humor i radość życia i możność odczuwania tego bezmiaru piękna i poezji, które tchną z każdego drzewa, z każdego krzewu, z każdego kwiatka i każdego ziela, wśród których z taką lubością zawodzi swe trele liczne ptactwo puszczańskie, nie obawiające się zupełnie poryków zwierząt, w puszczy siedzibę swą posiadających.

Ostatnie jeszcze pożegnanie rzuciliśmy arcymalowniczym wykrotom, uformowanym częstokroć w najdziwaczniejszy sposób, a proszącym się prawie zawsze o pędzel, lub ołówek malarza, opuściliśmy nieprzejrzane bory. Wróciwszy przez park nad stawek narewski, w którym przegląda się zalotnie w pośrodku umieszczona wyspa, pełna zieleni, opuściliśmy Białowieżę z gorącem zapewnieniem powrócenia do niej na dłuższy pobyt.

Franciszka Szyfmanówna (Warszawa).



Żubr samotnik z rezerwatu w puszczy Białowieskiej.

KATASTROFA LOTNICZA kpt. ORLIŃSKIEGO.



Dnia 1-go września podczas lotu ćwiczebnego w Warszawie samolot pilotowany przez kapitana Orlińskiego uległ katastrofie, opadając nad brzegiem Wisły i rozbijając sie doszczętnie.

Naszego znakomitego lotnika, kpt. Orlińskiego, bohatera lotu Warszawa-Tokio, prześladuje od jakiegoś czasu pech, dzięki czemu padł on dwukrotnie ofiarą katastrofy i zdołał uratować się tylko przy pomocy spadochronu. Katastrofa ostatnia, która miała miejsce dnia 1-go września w Warszawie, nastąpiła w chwili, kiedy kapitan Orliński próbując motoru, krążył nad miastem. Wówczas to urwała się blacha, przykrywająca motor i uszkodziła t. zw. lotkę, t. j. miejsce ruchome skrzydła, co uniemożliwiło kpt. Orlińskiemu lądowanie. Nie chcąc, aby aeroplan zleciał na miasto i wzniecił pożar, oraz pozabijał ludzi, kpt. Orliński skierował się w stronę lotniska, a następnie spróbował ratunku przy pomocy spadochronu. Przy lądowaniu kpt. Orliński zwichnął sobie nogę. Odwieziono go też do szpitala, gdzie pozostanie dłuższy czas ze względu na wielkie wyczerpanie nerwowe. Aparat krążył bez lotnika przez 15 minut, a następnie spadł i rozbił się doszczętnie.

Wiadomość o katastrofie tak znanego lotnika wywołała w całym kraju wielkie poruszenie i uprzytomniła społeczeństwu jeszcze raz, na jakie niebezpieczeństwa narażony jest każdy lotnik i że tembardziej więc należy cenić ich wysiłki, zmierzające do podboju powietrza i nieustawania w trudzie pomnażania dorobku cywilizacyjnego i technicznego ludzkości.

Autograf kapitana Orlińskiego, pisany zaraz po katastrofie.



Widząc zbliżającą się katastrofę kapitan Orliński wyskoczył z aparatu. Przy lądowaniu ze spadochronem zwichnął sobie nogę. Zdjęcie przedstawia przenoszenie kapitana Orlińskiego z karetki sanitarnej do szpitala.

CENTRALNY OGRÓD SZKOLNY W CIESZYNIE

Szkolnictwo polskie na Śląsku zyskało w ostatnich latach nową placówkę naukową w postaci „Centralnego Ogrodu Szkolnego w Cieszynie". Placówka ta jest tem ważniejsza, że powstała jako pierwsza w województwie śląskiem i to na najbardziej na zachód wysuniętych granicach Rzeczypospolitej Polskiej. Oddaje ona zatem usługi nietylko czysto naukowo-wychowawcze, ale i wybitnie prapagandowe.

Cieszyn, jako miasto graniczne, posiada stosunkowo bardzo wielką liczbę szkół średnich, a mianowicie dwa gimnazja państwowe: klasyczne i matematyczno-przyrodnicze, dwa seminarja państwowe: męskie i żeńskie, Wyższą Szkołę Gospodarstwa Wiejskiego, Szkołę dla Leśniczych, oraz cały szereg szkół powszechnych. Ponieważ we wszystkich wymienionych zakładach naucza się w dużej mierze botaniki, wyłoniła się konieczność stworzenia ogrodu szkolnego, by nauczanie odbywało się według najnowszych wymagań, t. j. przy jak najbliższem zetknięciu się młodzieży z otaczającą ją przyrodą. Centralny Ogród Szkolny w Cieszynie tworzy się od trzech lat i obecnie urządzenie go prawie że dobiega końca. Jest on nietylko ogrodem-składnicą, z którego mogą czerpać wszystkie szkoły w Cieszynie materjał okazowy do nauczania w klasie, nietylko jest ogrodem demonstracyjnym, posiadającym celowo zestawione grupy roślin biologicznie ważnych, ale jest on najbliższym warsztatem pracy uczącej się młodzieży. Młodzież, szczególnie klas niższych, posiada własne grządki, na których oprócz przeprowadzania całego szeregu doświadczeń biologicznych, uczy się hodowli najpospolitszych warzyw. Uczniowie zapoznają się z wszelkiemi pracami ogrodniczemi, uczą się ryć i formować grządki, nawozić, obsiewać, obsadzać, oraz pielęgnacji roślin; uczą się dalej hodować drzewka owocowe i krzewy, oraz je uszlachetniać. W ogrodzie spędza młodzież cały wolny czas, pracując bądź na własnych grządkach, bądź na grządkach mniej zaprawionych do pracy kolegów, bądź wreszcie pomagając w urządzaniu i utrzymaniu samego ogrodu szkolnego.

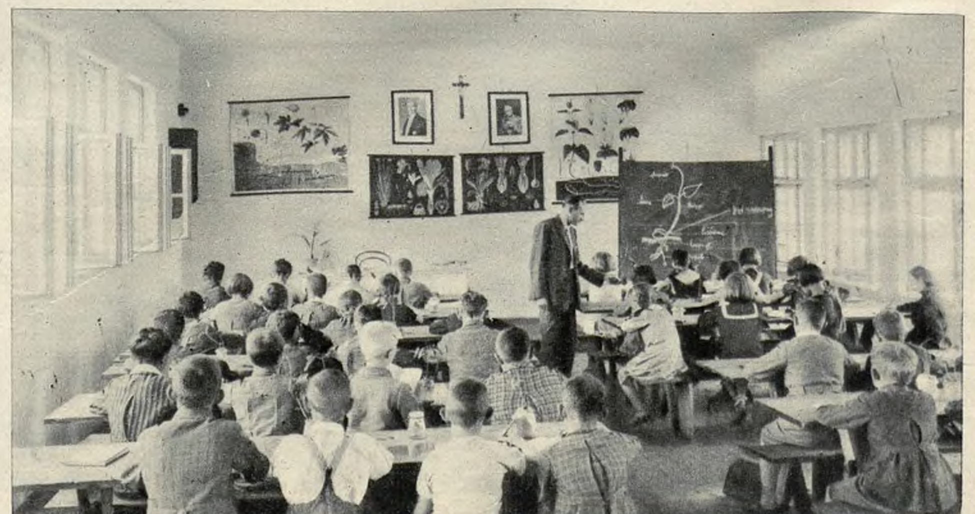
Centralny Ogród Szkolny w Cieszynie obejmuje przestrzeń 2 morgów polskich i jest podzielony na 7 następujących działów: dział roślin użytkowych i lekarskich, dział drzew i krzewów, dział biologiczny, dział roślin zdobniczych i szkółkę drzew owocowych, wraz z działem doświadczalnym, oraz dwoma grzędami uczniowskiemi.



Uczenice zajęte zbieraniem wyhodowanych przez siebie pomidorów.



Grzędy uczniowskie, na których młodzież uczy się uprawy warzyw i kwiatów.



Lekcja przyrodoznawstwa, odbywająca się w budynku przy centralnym ogrodzie szkolnym w Cieszynie.

B. Król hiszpański, Alfons XIII ze swoim chrześniakiem Stefanem, synem arcy księcia Antoniego Habsburga i księżny Ileany rumuńskiej.

Arcyksiążę Antoni Habsburg i jego żona Ileana (na zdjęciu) doczekali się syna.

STEFANIE, CZEGO ŻĄDASZ OD KOŚCIOŁA BOŻEGO?

(Oryginalna korespondencja z Mödling).

Małe austrjackie miasteczko Mödling było w tych dniach świadkiem niezwykłych uroczystości. Odbył się tam bowiem chrzest najmłodszej latorośli Habsburgów, a mianowicie syna arcyksięcia Albrechta i jego małżonki Ileany rumuńskiej. Na ojca chrzestnego poproszono króla rumuńskiego Karola, którego zastąpił b. król hiszpański Alfons XIII, a na matkę b. królową Elżbietę.

Nowemu Habsburgowi dano na chrzcie imię Stefan, może dlatego, aby tem łatwiej mógł on kiedyś zdobyć, ciągle jeszcze wakującą koronę węgierską. Wprawdzie oficjalnym kandydatem do korony św. Stefana jest arcyksiążę Otto, ale kto tam może wiedzieć, co stanie się za lat kilka, czy kilkanaście?

Dla wszelkiej także pewności nie ustalono jeszcze przynależności państwowej małego Stefanka. Wedle litery prawa, jest on właściwie obywatelem austrjackim, ponieważ urodził się w Austrji. Austrja jednak nie uznaje żadnych tytułów rodowych, jako republika. Przeciwko oświadczeniu się za przynależnością rumuńską przemawia znowu antagonizm rumuńsko-węgierski, tak że jest nie do pomyślenia, aby „rodowity" Rumun mógł kiedyś zasiąść na tronie Arpadów. Ta przynależność jest jednak właściwie sprawą drugorzędną, gdyż królowie dynaści stanowią właściwie jedną wielką rodzinę międzynarodową, której członkowie gotowi są w każdej chwili i każdemu narodowi służyć swoimi osobami i panować nad „wiernymi" ludami, wszystko jedno gdzie, w Meksyku, czy w Albanji, na Węgrzech, czy w Bułgarji.

Uroczystości w Mödling były wodą na młyn monarchistów austrjackich, którzy też tłumnie zjechali tam, aby choć raz jeszcze w życiu zobaczyć autentycznych królów a przedewszystkiem ich nieposzlakowanego przedstawiciela Alfonsa XIII i jego wydatny, prawdziwie rasowy nos. Król ten, pomimo że żyje na wygnaniu, jest zawsze uśmiechnięty i pomimo, że reprezentuje on, wprawdzie już teraz nieoficjalnie, najsurowszą etykietę świata, przecież zdołał on się już zdemokratyzować i na każde wezwanie, nawet trzeciorzędnego reportera, chętnie ustawia się przed aparatem fotograficznym, robi przyjemną minę i rzuca jakiś aforyzm, który oczywiście przechodzi zaraz do historji i do gazet i jest skwapliwie czytany przez najszersze masy demokratów. Demokraci ci bowiem nauczyli się wielu rzeczy, jak n. p. pogardy dla królów, nienawiści do cesarzów, mimo to jednak wolą oni nawet na fotografji oglądać Alfonsa XIII, niż n. p. jakiegoś Majera czy Webera.



Orszak chrzestny przed kościołem w Mödling w Austrji. Drugi od lewej: b. król hiszpański Alfons XIII., obok niego królowa matka rumuńska, Elżbieta b. królowa grecka, i arcyksiężna Małgorzata.

To też w Mödlingu przeżyli oni swój wielki dzień, podziwiając naprzód Alfonsa, później arcyksięcia Albrechta, królowę grecką, księcia Parmy, księcia Braganca, księcia Hohenlohe i t. d.

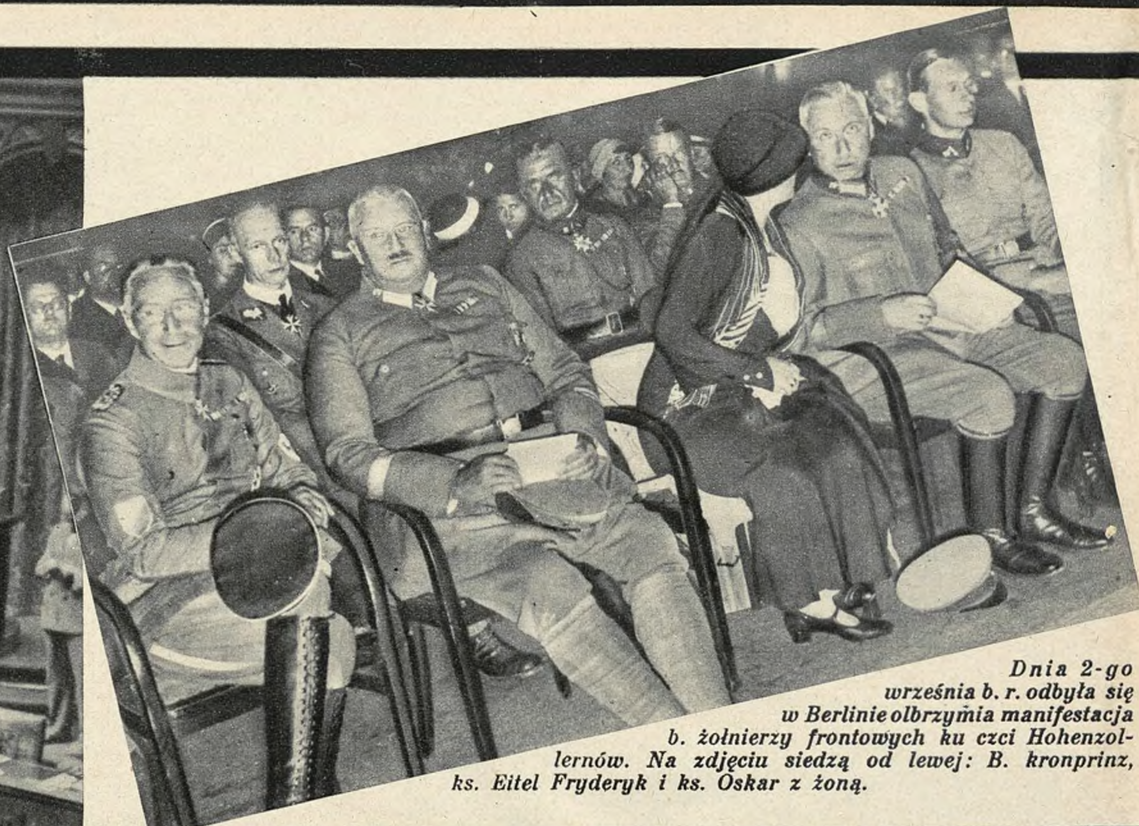
Król Alfons bardzo dzielnie sprawował obowiązki ojca chrzestnego, a na zapytanie proboszcza kościoła św. Othmara, ks. Rögnera, brzmiące:

— Stefanie, czego żądasz od kościoła Bożego? — Odpowiedział śmiało: — wiary!

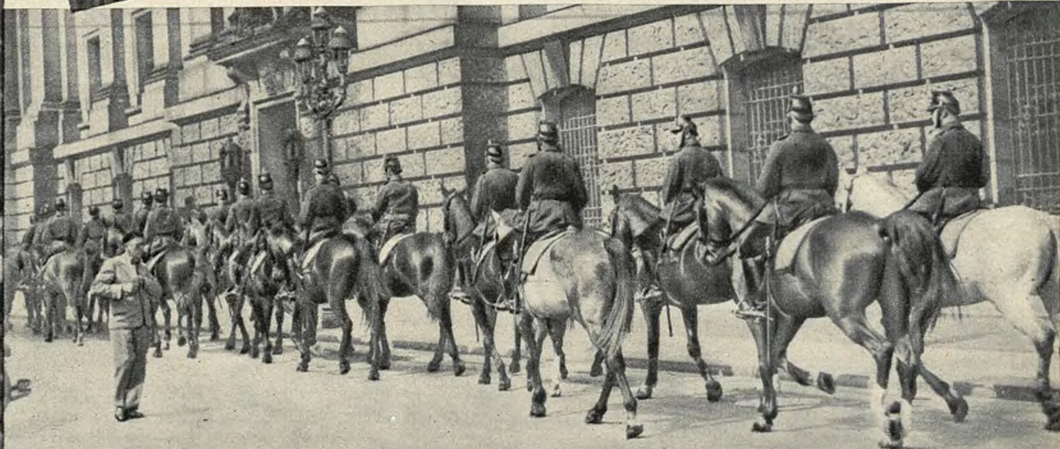
Mały Stefanek otrzymał mnóstwo darów, no i teraz rośnie sobie zdrowo. Zobaczymy, co z niego wyrośnie: król, czy tylko arcyksiążę? L-i.



Komunistka Klara Zetkin otwiera, jako najstarsza wiekiem, posiedzenie parlamentu Rzeszy, w dniu 31 sierpnia b. r. *Fot. The New York Times.*



Dnia 2-go września b. r. odbyła się w Berlinie olbrzymia manifestacja b. żołnierzy frontowych ku czci Hohenzollernów. Na zdjęciu siedzą od lewej: B. kronprinz, ks. Eitel Fryderyk i ks. Oskar z żoną.



Policja niemiecka, patrolująca w pobliżu parlamentu w dniu jego otwarcia. *Fot. Atlantic.*



Hitler (w pośrodku z podniesioną ręką) odbiera przysięgę od posłów hitlerowców.



Stary marszałek Mackensen korzysta z wszelkiej sposobności, aby budzić w narodzie ducha militarnego. — Na zdjęciu widzimy go, przemawiającego z racji odsłonięcia pomnika na pamiątkę bitwy pod Leuthen, w 175-tą jej rocznicę.

PRUSKI BAGNET NAD EUROPĄ.



W myśl żądań niemieckich Reichswehra, będąca wojskiem ochotniczem, której liczba nie może przekraczać 100.000 bagnetów, ma być zastąpiona przez armję stałą z poboru, wyposażoną we wszystkie nowoczesne środki techniczne, oraz rodzaje broni. Na zdjęciu ćwiczenia Reichswehry nad granicą polską w Prusach Wschodnich. Keystone, Berlin.

Jeszcze przed kilku miesiącami, a nawet tygodniami wydawało się, że Hitler jest w przededniu objęcia władzy w Niemczech, i że prezydent Hindenburg staje po jego stronie. Ostatnie jednak dni przyniosły wyjaśnienie sytuacji w tym sensie, że jak narazie prez. Hindenburg postanowił rządzić sam, przy pomocy oddanych sobie ludzi i sile swoich przeciwników przeciwstawić wojsko i policję, a przedewszystkiem urok swojej postaci, opromienionej legendą wojenną, która jeszcze ciągle dla przeciętnego Niemca jest wcieleniem wszystkich cnót germańskich. Nie ulega żadnej wątpliwości, że w zajęciu takiego a nie innego stanowiska przez Hindenburga gra, obok innych pobudek politycznych także wielką rolę i moment osobisty. W czasie niedawnej agitacji z racji wyboru prezydenta Rzeszy, hitlerowcy wytoczyli przeciw Hindenburgowi jaknajcięższe armaty, nazywając go sługą socjalistów i żydów i zdziecinniałym starcem i niedołęgą. Nie zostawili na nim poprostu suchej nitki, a nawet rozpuścili pogłoskę, że uległ on ciężkiemu atakowi sklerotycznemu. Mimo to jednak, stary Feldmarszałek zwyciężył swojego kontrkandydata, feldwebla Hitlera i czując za sobą oparcie w społeczeństwie, a przedewszystkiem w Reichswehrze, wyzwał do walki zarówno parlament, jak i brunatne koszule. Nietylko więc nie powierzył urzędu kanclerskiego Hitlerowi, pomimo jego żądań, ale wyjechawszy sobie na letnie wywczasy do Neudeck w Prusach Wschodnich, podpisał in bianco dekret rozwiązujący parlament z tem, że nowe wybory odbędą się dopiero po plebiscycie, który ma rozstrzygnąć sprawę reformy ordynacji wyborczej, a przedewszystkiem wprowadzić głosowanie nie na listy, tylko na nazwiska. Wiadomość o tym nowym „zamachu stanu" podziałała na partje, jak kubeł zimnej wody. Hitlerowcy, którzy jeszcze do niedawna drwili sobie i kpili z parlamentu, nagle okazali się jego najgorliwszymi obrońcami. Centrowcy, którzy zionęli nienawiścią do Hitlera, zawarli z nim cichy sojusz. Socjaliści siedzą cicho, jak mysz pod miotłą. Nawet prowokacyjnego przemówienia komunistki Klary Zetkin, która, jako najstarsza wiekiem, otwierając parlament Rzeszy, nawymyślała rządowi i partjom, słuchano w niezmąconym spokoju, aby tylko dać dowód, że parlament pragnie rzeczowej pracy i daleki jest od ducha anarchji.

Tymczasem rząd Papena, aby wzmocnić swoją pozycję, zrobił bardzo zręczne pociągnięcie na terenie międzynarodowym, a mianowicie zażądał, aby zniesiono artykuły Traktatu Wersalskiego, zabraniające Niemcom posiadania stałej armji z poboru, ciężkiej artylerji, lotnictwa wojskowego itd. Nazywa się to, że Niemcy pragną równości zbrojeń, że dłużej nie mogą narażać się na oczywiste niebezpieczeństwo wobec groźnej postawy sąsiadów i że muszą przedewszystkiem ufortyfikować swoje zarówno wschodnie, jak i zachodnie granice. Wtajemniczeni twierdzą, że ten krok Niemiec był możliwy tylko po ścisłem porozumieniu się zarówno z Włochami, jak i Anglją, które pocichu zgodziły się na to żądanie. Obecnie ma głos zabrać Francja. Ale cóż Francji pozostaje do zrobienia: Jeszcze raz zająć Nadrenję, czy pójść na kompromis? Nowa wyprawa do Nadrenji jest więcej niż problematyczna, zachodzi więc obawa, że Niemcy, jeżeli nie dziś, to jutro, staną przed Europą uzbrojone od stóp do głów, a przez to rozpoczną i zainaugurują wyścig zbrojeń w całym świecie, który nieuchronnie doprowadzi prędzej, czy później do nowego konfliktu.

Znamiennem jest, że obecnie na pierwszy plan w Niemczech wysunął się b. kronprinz. Jest on pierwszą figurą wśród hitlerowców, co nie przeszkadza mu brać udziału także w manifestacjach patrjotycznych Stahlhelmu i w zebraniach innych organizacyj, zarówno republikańskich, jak i monarchistycznych. Czuje on bowiem, że zbliża się jego i Hohenzollernów godzina.

Hindenburg ma już 84 lat. W tym wieku trudno snuć dalekie plany na przyszłość. Kiedy zaś zabraknie starego feldmarszałka, Niemcy będą szukały nowego autorytetu. Hitler pomimo wszystko jest za bardzo pajacowaty i za mało poważny, aby mógł stanąć na tym piedestale, na którym historja postawiła Wielkiego Fryca, Hindenburga, czy nawet Wilhelma. Hitler to bowiem tylko feldwebel — a bogowie w Niemczech zaczynają się od feldmarszałka, względnie prinza. To też najruchliwszy z Hohenzollernów, b. kronprinz, stara się nie zasypiać gruszek w popiele i wierzy, że za zgodą Europy ukoronuje kiedyś swoje skronie cesarską koroną Niemiec. Dobra Europa jest przecież tak wyrozumiała. Zgodzi się napewno więc i na to....

Kum.



Kanclerz Rzeszy v. Papen (po lewej) bawił w Neudeck u prez. Hindenburga i skłonił go do podpisania dekretu in bianco, rozwiązującego parlament. Tak więc nad parlamentem niemieckim wisi miecz Damoklesowy, który podziałał na partje, jak kubeł zimnej wody i skłonił je do największego spokoju.

ŁÓŻKO Z PIERZYNĄ DLA GEN. SANJURIO.



Patrole policyjne krążące po ulicach Madrytu.

Przywódca monarchistów, generał Sanjurjo, który przed kilku tygodniami przygotował nieudały zamach stanu, zwrócony przeciwko republice hiszpańskiej, stanął w tych dniach przed sądem wojennym i został skazany na karę śmierci. Prezydent Rzeczypospolitej ułaskawił go jednak, zamieniając karę śmierci na dożywotnie więzienie. Zdegradowanego generała przewieziono już do więzienia w Dueso i wyznaczono mu celę. W celi tej znajduje się wprawdzie zakratowane okno, nie brak tam jednak wygodnego łóżka z materacem, dwóch poduszek i pierzyny. Cela ta robi wrażenie raczej mieszczańskiego pokoju, aniżeli więzienia. Generał Sanjurio jest zresztą najlepszej myśli. Gdy się go pytano, co sądzi o swoim procesie, odpowiedział, że najgorzej dotknęło go to, iż początek rozprawy wyznaczono na godzinę 7-mą rano, czyli na godzinę nieprzyzwoicie wczesną. — Trudno jednak — dodał zaraz — żądać znajomości form towarzyskich od republikanów. W tem powiedzeniu generała Sanjurio wyraziła się cała pogarda, jaką szlachta hiszpańska, uważająca się za pierwszą w świecie, żywi do nowego porządku republikańskiego, który na szczyty wyniósł ludzi niepieczętujących się herbami i mitrami książęcemi. Wogóle od czasu przewrotu arystokracja hiszpańska usunęła się zupełnie od życia publicznego. Część z nich uciekła zagranicę, reszta zaś pochowała się w swoich zamkach i czeka lepszych czasów, względnie z rozpaczą śledzi przebieg bardzo radykalnej reformy rolnej. Do najwpływowszych arystokratów, którzy pozostali w kraju, należy przedewszystkiem książę Alba i Medinaceli. Kościół katolicki został zupełnie odsunięty od wszelkich wpływów i jest konsekwentnie prześladowany. Komunizm zapuścił w Hiszpanji bardzo słabe korzenie i znalazł nieubłaganego przeciwnika w ministrze spraw wewnętrznych, którym jest Casares Quiroga.

Narazie jest w Hiszpanji spokój. Czy i kiedy wybuchnie najbliższa rewolucja, względnie kto zorganizuje najbliższy zamach stanu, tego przewidzieć się nieda. Że jednak jakiś przewrót znowu wisi w powietrzu, to nie ulega wątpliwości. Materjału palnego nagromadziło się bowiem dużo, a ludzi igrających z ogniem także nie brak. Prędzej czy później będzie w Hiszpanji znowu ruchawka.



Dom karny w Dueso, gdzie gen. Sanjurio będzie odsiadywał karę dożywotniego więzienia.



Cela gen. Sanjurio w więzieniu w Dueso.

NOWE SCHRONISKO TATRZAŃSKIE.



Gościniec do Morskiego Oka. W głębi Murań i Hawrań.

Pod nazwą Roztoki rozumieć tu należy znane, stare schroniska im. Wincentego Pola, wystawione dawno temu przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, a spełniające pierwszorzędną rolę jako punkt oparcia dla turystów, chcących robić wypady jedno lub kilkodniowe w stronę Morskiego Oka, w kierunku Pięciu Stawów Polskich i w dolinę Białej Wody, het, aż po Polski Grzebień i Garłuch. Gdyż Roztoka, jak sama jej nazwa wskazuje, jest miejscem, skąd roztacza się widok w kilku naraz kierunkach z dna doliny Białki, a to dzięki temu, że w tej właśnie okolicy schodzą się z różnych stron doliny walnych potoków źródłowych, jak Rybi od Morskiego Oka, Biała Woda, Roztocki z Pięcistawów — aby utworzyć rzeczkę graniczną Białkę. Schronisko w Roztoce leży bowiem opodal granicy, nad tą właśnie rzeką, niedaleko miejsca, gdzie spienione wody rozbełtanego w Wodogrzmotach Mickiewicza potoku, ciśniętego potężną Siklawą wgłąb doliny Roztoki, łączą się z połączonemi wodami Rybiego i Białej Wody. Schronisko w Roztoce leży na wysokości 1.032 m. nad poziom morza na pięknej polanie, wśród smrekowego lasu, w odległości około 8 km. (szosą) poniżej Morskiego Oka, przyczem dostęp do schroniska od szosy jest łatwy, gdyż należy jedynie od wiaduktu nad Wodospadami Mickiewicza zejść zielono znakomitą ścieżką 10 minut w dół — i staje się przed odnowionem, rozbudowanem świeżo schroniskiem. W b. r. bowiem Tow. Tatrzańskie, uznając za niemożliwe tolerowanie dalej ciasnoty w schronisku, dokonało jego rozszerzenia w kierunku zwiększenia liczby miejsc noclegowych przy jednoczesnem zapewnieniu wygody pod względem przestrzeni i kubatury wnętrz. Schronisko otrzymało obszerną świetlicę, będącą jednocześnie salą jadalną, porządne umywalnie, rozszerzoną kuchnię. nowe pomieszczenie dla dzierżawcy. Przestrzega się tam wzorowej czystości i porządku, zaopatrzono schronisko w nową bieliznę pościelową i koce, sprawiono liczne nowe łóżka i sprzęty — wstawiono podwójne okna, zmontowano solidne piece — ostatnie prace wykonało P. T. T. ze względu na rosnące wciąż znaczenie Roztoki dla górskiej turystyki zimowej. Obecnie wykańcza się budynek gospodarczy wraz ze stajnią. W ten sposób P. T. T., przedsiębiorąc odnowienie i rozszerzenie schroniska roztockiego, dokonało nader pożytecznego dzieła dla turystyki w Tatrach, dając rzeszom miłośników gór nowy objekt, w którym znaleźć mogą po przystępnych cenach dogodny punkt oparcia dla swych przechadzek i dalszych wycieczek i wypraw. Schronisko w Roztoce zostało oddane w administrację Oddziałowi Krakowskiemu Pol. Tow. Tatrzańskiego.

Witold Mileski.



Schronisko Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Roztoce, po przebudowie. Poza schroniskiem widać stoki Holicy (1630 m), leżące już na czechosłowackim brzegu Białej Wody.



Czarny beret z tłoczonego jedwabiu matowego, odszytego oryginalnie z asymetrycznych form. Pióro w kolorze beige.





Błękitny toczek z borty plecionej z jedwabiu i wełny. Dwa pasma wężowym splotem otaczają brzeg kapelusza, przytrzymane metalową klamrą.

TOCZKI I BERETY.



Oryginalny kapelusz z modnego Velour Paysan, aksamitu lekkiego i miętego jak eponge. Piękny aksamit nie wymaga żadnego już przybrania.

Zgrabny bucik i gustowny kapelusz, w którym jest właścicielce naprawdę „do twarzy“ — to połowa conajmniej tego dobrego wrażenia, jakie sprawia ukazanie się eleganckiej kobiety.

Kapelusz podlega wielu ewolucjom, z których nie zdajemy sobie nawet sprawy. Jego forma i wielkość zależną jest od ogólnej linji sylwetki, jaką kreują na każdy sezon główne domy mody. Obecnie w dalszym ciągu hołdujemy smukłej sylwetce i jej uwydatnieniu służą wszystkie akcesorja mody. Wysoka linja stanu wydłuża linję nóg, mały dekolt z przodu podwyższa całą postać przez ujęcie głowy w ramy wysoko pod szyję sięgającego kołnierza. Mały kapelusz podkreśla również smukłość postaci i stąd mimo przejściowej mody letniej, która wprowadziła wielkie fasony, wróciły triumfalnie małe kapelusze.

Lekki filc i aksamit matowy służą do celów tegorocznej jesiennej mody w zakresie kapeluszy. Wymagają one pracowitego odrobienia szczegółów, od których zależy właściwy szyk małego kapelusza. Nie można go przeładować motywami przybrania. Jedynie drobne i dyskretne szczegóły, umiejętnie dobrane do stylu toczka, berecika, czy turbana, stanowią przybranie jesiennego kapelusza.

Kolory narazie jeszcze utrzymują się w tonach jasnych, zwłaszcza do czarnych i ciemnych sukien i płaszczy. Zalotne woaleczki nie spadają poniżej linji oka, a celem ich jest utrzymanie w ładzie ładnie zaondulowanych pukli włosów, ukazujących się z pod kapelusza, zesuniętego silnie na połowę głowy. Ta linja zaczyna się jednak modyfikować i mamy fasony albo odsunięte silnie z czoła, albo też zakrywające czoło jakimś motywem przybrania, czyto fantazją z piór, czy też aksamitnemi kwiatami.

Pióra zyskują coraz więcej prawo obywatelstwa w modzie obecnego sezonu. Prócz zastosowania do kapeluszy służą bowiem do wyrobu wielkich rozmiarów kołnierzy-boa, a nawet pelerynek do sukien wieczorowych, które anektują puszyste pasma piór strusich do wykończenia sukien u dołu.

Motywy z piór do kapeluszy utrzymują się narazie w minjaturowych rozmiarach, podczas gdy główka tonie w miękkim puchu pierzastych boa.

W. W.



Kapelusz z białego aksamitu w rodzaju modnych dawniej „Canotier“, przybrany wyłącznie opaską z białej wstążki.

WITOLD ZECHENTER.

„L. X. 204"

NOWELA.

— Mała niedokładność prawej ręki...

— Zaraz przyślemy mechanika...

Opada twardo słuchawka na widełki. Ale zaraz dzwonek telefonu odrywa szczupłą rękę urzędniczki od zielonego pokrycia biurka.

— Tu F. U. R.

— Dom handlowy braci Whrite. Prosimy jeszcze o dwie sztuki, jak w ostatniem zamówieniu, typ M. P. 123.

— Zwrócę zamówienie do centrali. Jutro będzie wykonane.

Matowy głos urzędniczki uderza lekko w srebrny odbiornik telefonu wewnętrznego:

— Dwie sztuki M. P. 123 dla domu Whrite na jutro.

Za szklaną szybą pokoju wielka hala biura nachylona w rytm pracujących postaci. Biurka i cicho piszące maszyny. Dyktofony i telotypy. Pracuje wytężająco olbrzymie biuro Fabryki Ulepszonych Robotów.

Na najwyższem piętrze w cichym, owatowanym gabinecie siedzi dyrektor Motor. Ręka szkicuje długim czerwonym ołówkiem na białej taśmie papieru. Na czole rysują się myśli pewne i skupione.

Ulepszone roboty fabryki Motora o wszechstronnych możliwościach w zastosowaniu obiegły dookolnie cały świat, wywołując wszędzie najwyższe uznanie i zupełny przewrót. Na tysiącach placówek robotniczych, przy maszynach, warsztatach, środkach automatycznej lokomocji stanęły stalowe, połyskliwe, eleganckie postaci o ruchach prostych i niezawodnych, kontrolowane przez nieustępliwy przed żadnemi siłami zewnętrznemi mechanizm. Ulepszone roboty znalazły zajęcie we wszystkich punktach spłaszczonej, zgrzybiałej kuli ziemskiej. Potoczyło się inne życie pod rozkazami martwych życiem i żywych swą martwotą postaci.

Ale praca wynalazcy wielkiego Motora nie ustała ani na chwilę. Długie fale lat zastawały go zawsze na niezmiennem stanowisku czujnego i napiętego jak łuk myślami nietylko dyrektora olbrzymiej fabryki sztucznych ludzi, lecz nieustającego wynalazcy. Ulepszał wciąż te stalowe, jednakie postaci, zewnętrznie prawie nieróżniące się od siebie, chociaż w kilkudziesięciu typach wewnętrznie różniły się one znacznie, posiadając specjalne mechanizmy, zależnie od rodzaju pracy, jaką miały wykonywać.

I dzisiaj także dyrektor Motor pracował, opanowany gorącą żądzą doprowadzenia do realnego wyniku zdawna nurtującego go planu.

Szary tłum wielotysięczny jego robotów był karny i niezawodny. Drobne mankamenty poprawiano łatwo. Gwarancja rozciągała się na okres lat, niedostępnych dla człowieka, zamkniętego w okrutnej klatce, okratowanej śmiercią. Ale jednej rzeczy brakowało jego armji robotów.

Brakowało im serca.

Brakowało im tego serca, które pod dyktat mózgu-mechanizmu podkłada miękką melodję uczucia, przez co jakże inną atmosferą tchnie wykonywana praca, dając przytem o ileż wybitniejsze wyniki, jeśli się założy, że serce to nie będzie się męczyć.

Plan zastosowania serca u robotów, które posiadały obieg krwi-esencji, odżywiającej ustawicznym smarem ich członki, naoliwiającej je, by pracowały bez zużywania zewnętrznych swych części, długo trwał w mózgu genjalnego wynalazcy Motora, zanim poraz pierwszy ręka jego zaczęła kreślić szkic na papierze.

Minęły miesiące i przyszedł dzień, gdy na szpaltach pism całego świata zaczerniły się wielkie, rewolucyjne słowa:

„Najnowszy typ robota!

F. U. R. wypuszcza z dniem dzisiejszym nową serję robotów, które posiadają serce.

Nowy ten typ, nazwany L. X. 204, odznacza się..." itd.

* * *

Późny wieczór jesienny.

Wyniosły blok F. U. R. płynie jak skała w wietrze posępnym i wilgotnym, okalającym miasto silnym zawiewem jesieni.

Długim szeregiem opuszczają biura ludzie i roboty, stalowym pasem maszerują z fabryki roboty i ludzie. Praca dzienna skończona.

Zamykają się miękie i grube drzwi gabinetu Motora.

— Dobranoc, panie dyrektorze.

Odchodzi naczelny inspektor F. U. R.

Ale dyrektor pozostaje jeszcze. Przegląda wielki stos wycinków z pism całego świata, gdzie jego nazwisko w ramach różnojęzycznych słów wybłyszcza na piedestale zachwytu. Typ L. X. 204 okazał się wspaniałym. Obecnie fabryki Motora nie produkują prawie wcale innych typów. Roboty z sercem zdobyły sobie uznanie całego świata i codziennie dziesiątki stalowych ludzi, w których piersiach huczy serce, opuszczają halę fabryki, rozjeżdżając się w świat pociągami, okrętami, samolotami.

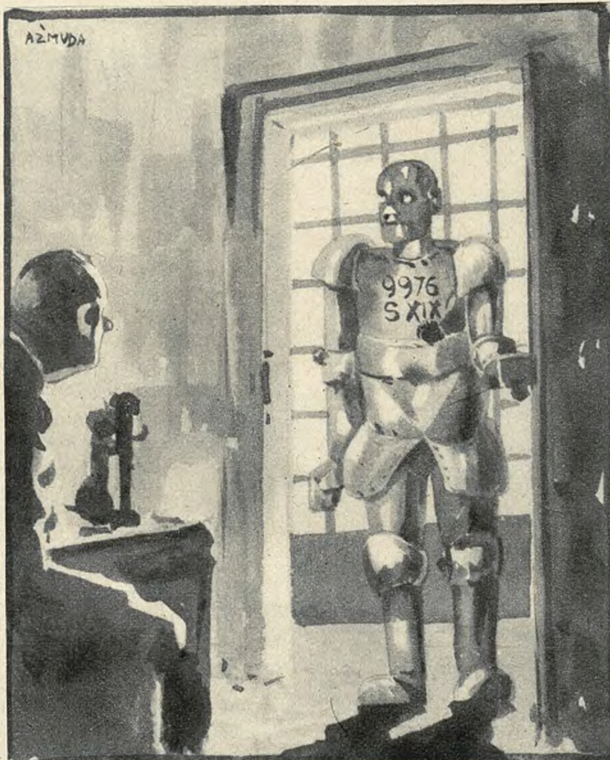
Gorące uczucie triumfu owiewa skronie dyrektora.

Olbrzymi gmach tonie w ciszy nocnej, w półmroku czerwonych lampek elektrycznych. Milczą korytarze, milczą sale.

Wsłuchany w dzwoniącą ciszę gmachu, upojony swem zwycięstwem, dyrektor Motor słyszy nagle odgłos równych, odmierzonych kroków w korytarzu. Kroki idą miarowo i silnie. Zatrzymują się pod drzwiami. Wykonują zwrot.

Drzwi otwierają się.

Oświetlony od tyłu bladem różowem światłem, staje



w nich najnowszy typ, L. X. 204. Na piersiach widnieje jego numer własny: 9976 serji XIX.

Dyrektor zdziwiony wstaje za biurkiem.

— Dziwna niedokładność mechanizmu? Zacięcie się jakichś sprężyn, które spowodowało ruch odwrotny innych? — Myśli zdumienia przebiegają przez jego oczy, patrzące pilnie w stalową postać.

A postać podchodzi do biurka, zatrzymuje się i czeka. Patrzy szaremi oczyma. W ciszy, jaka znów zapanowała, słychać wyraźnie wspaniały rytm serca robota.

Serce!...

I nagle zdaje się dyrektorowi Motorowi, że stalowe, sine wargi poruszają się. I zdaje mu się, że słyszy słowa robota...

Z dna niemożliwości wstaje straszna opowieść. Opowieść, która w ustach człowieka byłaby banałem nie do wysłuchania, ale w ustach typu L. X. 204 staje się przerażającą i smutną doglębnie.

Serce...

Przeliczył się genjusz wynalazcy. Nie wciągnął w rachubę, roztoczoną przy montowaniu serca w robotach jednej rzeczy: serca tego właśnie...

Mówi robot sinemi wargami i słychać coraz szybszy stuk jego serca. Opowiada o strasznem uczuciu, które przepoiło jego ciało, które odebrało mu równość i miarowość poruszeń. Mówi o sercu, które pokochało.

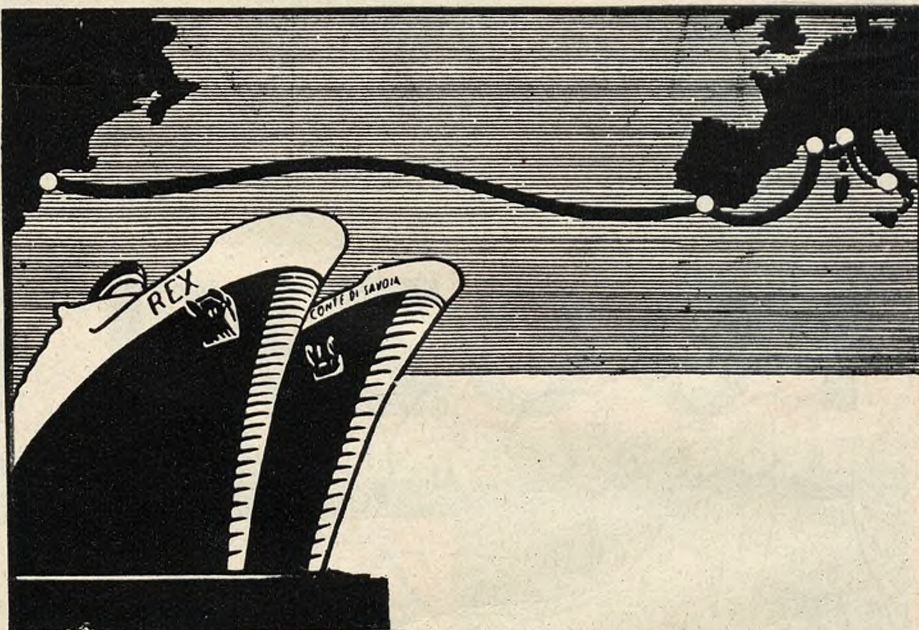
I nagle, gdy cały gabinet kołysze się w rytmie olbrzymiejącego szumu jego serca, podnosi się stalowa ręka i spada. Pryska pod jej uderzeniem śmieszna czaszka człowieka. Wali się na dywan pod biurkiem skrwawiony trup.

Dyrektor Motor nie żyje.

A morderca Nr. 9976 serji XIX typu L. X. 204 patrzy jeszcze chwilę na obraz swej zemsty za serce i pada z stalowym hukiem rozpryskujących się sprężyn na twardą posadzkę. Pęknięte serce zamilkło.

Jakiś reporter pisze w sensacyjnem sprawozdaniu na drugi dzień:

„Czyżby to była zemsta robota za to, że odebrano mu szczęście, dając mu serce?...".





Z POD GIEWONTU. Do Zakopanego przyjechali na wywczasy letnie dwaj znakomici muzycy polscy, a mianowicie p. Emil Młynarski, b. dyrektor Opery Warszawskiej (po prawej) i Paweł Kochański, sławny skrzypek.



Były minister skarbu Jan Piłsudski.



Nowy minister skarbu prof. Jan Zawadzki.

REORGANIZACJA GABINETU. Dnia 5 b. m. minister skarbu p. Jan Piłsudski i minister komunikacji inż. Alfons Kühn zgłosili na ręce p. Prezydenta Rzpltej prośbę o zwolnienie ich z zajmowanych urzędów. Pan Prezydent przyjął zgłoszenie o dymisję i jednocześnie mianował prof. Władysława Zawadzkiego ministrem skarbu oraz inż. Michała Butkiewicza, kier. min. komunikacji.



Były minister komunikacji inż. Alfons Kühn.

Z POLSKI.



WYSTAWA PRZEMYSŁU PERFUMERYJNO-KOSMETYCZNEGo W WARSZAWIE. Została otwarta dnia 3-go bm. w „Bagateli", w obecności prezesa Izby Handlowo-Przemysłowej, inż. Klarnera. Z wystawy tej widać, że polski przemysł perfumeryjno-kosmetyczny dorównuje zagranicznemu i może zaspokoić nawet najwybredniejsze potrzeby. *Na zdjęciu moment otwarcia wystawy.*



REGATY KAJAKÓW W WARSZAWIE. Zostały urządzone przez Ligę Morską i Kolonjalną na terenie klubu „Syrena" na Wiśle i zgromadziły dwadzieścia kilka osad. Na zdjęciu ratowanie jednej z osad, która podczas wyścigu przewróciła się. Na szczęście obeszło się bez ofiar.

Rebus.

Ułożył Z. Garliński pr. Warszawskiego Klubu Szaradzistów.



Z chwili.

Uł. J. Ursel-Wonschowa, członek Klubu Szaradzistów.

Szast — prast! i siedzisz już bracie na łodzie!
Bo wszak w czasie kryzysu **cała** nie zabawka;
Jeździłeś dawniej autem, hołdowałeś modzie —
Teraz per pedes pędzisz — gdzie zielona trawka...
Oj czasy, straszne czasy! Co to będzie z tego:
Wciąż redukcja, bankructwo, lub **cała** i kwita...
Samobójstwa, zabójstwa, masa ciągle złego —
Człowiek słucha i patrzy, a zębami zgrzyta...
Moja **A-pierwsza-czwarta** — bardzo jeszcze mała —
Drugie-pierwsze po cichu od wieczora do rana —
Cóżem winna, żeś takiej biedy doczekała —
Cała — to... siła wyższa — córeczko kochana!
I tak toczy się dalej. Kto słabszy — ten strzela,
Wiesza się, lub też truje, jak komu do gustu...
Kto mocny — ten nie pyta — święto czy niedziela,
Nie **trzecie-pierwsze** pracy, — szuka krwi upustu...
Inny kradnie, rozbija, a nawet morduje,
Choć wie, że do więzienia otwarta mu droga...
Cała... wielu więc sobie nic już nie żałuje —
Nikt z nich niema sumienia i nie wierzy w Boga!...

Za rozwiązanie niniejszych dwóch zadań redakcja „Światowida“ przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 17 września b. r. wraz z załączonym kuponem.

GRA W PIŁKĘ WODNĄ, CZYLI FATALNA POMYŁKA.



Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 33 nadesłali:

J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Z. Pieracki, Wilno; J. Maziarz, Ozorków; F. Litwiński, Lublin; W. Mackiewicz, Dubno; Gaspardowa, Warszawa; S. Kornaszewski, Inowrocław; St. Biesiada, Ozorków; M. Hirschfeldowa, Łochów; J. Kowalska, Warszawa; D. Herbstmanówna, Warszawa; W. Tyblewski, Poznań; J. Tyblewska, Poznań; J. Drabikówna, Warszawa; **Wacław Żdżarski, Nowogródek (zł. 30)**; W. Kortylewicz, Poznań; L. Glaszmidt, Warszawa; Grenicheux, Warsz., B. Molawski, Katowice; „Bezrobotny‘, Kraków; St. Mikowska, Warsz., Z. Tietz, Warsz., **J. Ruta, Wieluń (zł. 20)**; Jawnuta, Słonim; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; „Sierpień“, Warszawa; „Joteł“; . Rotter, Kraków; **Adam Borowicz, Poznań (zł. 10.—)**; T. Sobecki, Poznań; N. K. Kozłowski, Warszawa; T. Kretkowski, Warszawa.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Wacława Żdżarskiego, Nowogródek (zł. 30.—), Józefa Rutę, Wieluń (zł. 20.—) i Adama Borowicza, Poznań (zł. 10.—).

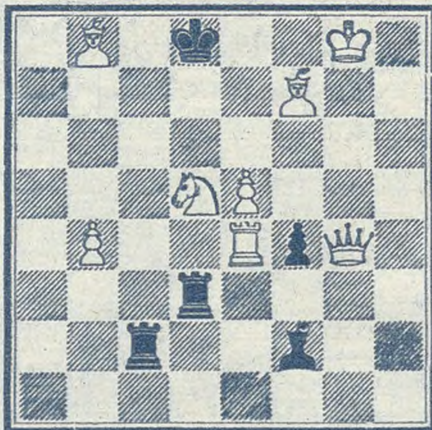
Redakcja „Światowida“ wyżej wymienionym prześle gotówkę niebawem.

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

E. Plesnivy (II nagr. w międzynarod. konkursie „Świata szachowego“ w r. 1931).

Czarne: Kd8, Wc2d3, Gf2 piony: f4 (5).



Białe: Kg8, Hg4 We4, Gb8f7, Sd5, piony: b4, e5 (8).

3-chodówka: 8 + 5 = 13.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki E. Plesnivego: 1. W—d4!
I. 1... G×d4 2. G—d6 i 3×;
II. 1... W×d4 2. H—e6 i 3×;
III. 1... W—g3 2. S—f6+ i 3×;
IV. 1... W—c5 2. S—b6+ i 3×.

PARTJA.

Białe: Dr A. Stächelin — Czarne: Dr M. Euve
grana w międzynarodowym turnieju w Bernie w b. r.

Gambit hetmana.

1. d4 d5
2. c4 e6
3. S—c3 a6
4. c×d5 e×d5
5. S—f3 c6
6. H—c2 G—d6
7. G—g5 S—e7
8. e3 G—g4
9. G—e2 H—c7
10. W—c1 (1) S—g6!
11. S—h4 G—e6
12. G—d3 S—d7
13. G—f5 Sd—f8
14. a3 (2) f6!
15. S×g6? (3) G×f5
16. H—a4 S×g6
17. S×d5 H—d8 **Białe poddały się.**

UWAGI:

(1) 10. G—h4 poczem G—g3 należało grać.
(2) Lepiej 14. e4, na co by Czarne odpowiedziały f6!
(3) **Błąd!** Białe powinny były grać: 15. G×e6! S×e6 16. S×g6 h×g6 17. H×g6 K—f8.

Z POD ZNAKU PANTOFLA.



— Proszę nadać mego męża na bagaż, bo walizka nie chce się zamknąć.

Rozwiązanie z Nr. 33

SZARADA: W starym piecu djabeł pali.

LOGOGRYF:

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16
D	S	Ż	I	O	S	E	O	D	U	G	Z	P	S	U	C
W	K	A	Ż	D	E	J	Ż	Y	C	I	A	H	E	C	Y
A	R	R	O	R	R	O	Y	D	I	N	S	Y	P	I	R
P	O	T	R	Z	E	B	N	E	S	Ą	P	L	E	C	Y
I	M	Y	A	E	T	O	A	K	Z	Č	A	E	T	H	L

PRAWDZIWY PRZYJACIEL ZWIERZĄT.



ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65. Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65. Numer konta P. K. O. w Krakowi 404.200 — w Warszawie 140-725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm. w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego“ w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 37 *upoważniający do losowania nagrody*

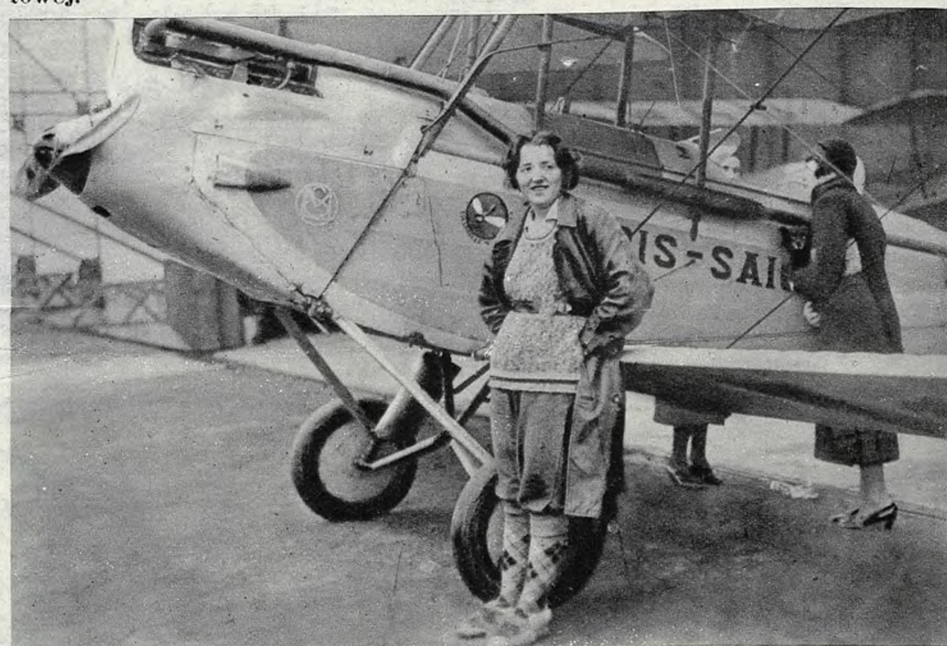
LATAJĄCE DZIEWCZĘTA... I MĘŻATKI.



STO DWADZIEŚCIA SZEŚĆ GODZIN W POWIETRZU. Dwie lotniczki amerykańskie, Mrs. Louise Thaden i Frances Marsalis (na zdjęciu) ustanowiły rekord światowy na samolocie „Le Boudoir Volant", przebywając przez 126 godzin w powietrzu. Poprzedni rekord wynosił 73 godziny. Czwartego dnia jedna z lotniczek zachorowała na podrażnienie ślepej kiszki, pomimo jednak wielkich boleści nie pozwoliła swojej koleżance lądować. Dowód to wielkiej siły woli i ambicji sportowej.



NOWA POLSKA LOTNICZKA. Znana w kołach sportowych, pani Janina Loteczkowa, była mistrzyni w narciarstwie, ukończyła obecnie w Krakowie kurs pilotażu, pomnażając skromne kadry naszych pilotek, które w roku ubiegłym zdały tak świetnie egzamin swojej sprawności, odbywając rajd naokoło Polski. Na zdjęciu widzimy panią Loteczkową, siedzącą z uradowaną miną na skrzydle awjonetki. Niewątpliwie p. Loteczkowa będzie doskonałą lotniczką i zdobędzie laury i na tem polu.



FRANCUZKA BIJE REKORD WYSOKOŚCI. Lotniczka francuska, Maryse Hilz, wzniosła się dnia 18 sierpnia w Paryżu na wysokość 8.375 metrów, ustanawiając w ten sposób rekord wysokości dla kobiet. Próba to była niełatwa, ponieważ dzielna lotniczka musiała walczyć z brakiem powietrza i z ogromnym chłodem. To też wylądowała zupełnie wyczerpana. Na fotografji panna Hilz przy swoim aparacie, na którym ustanowiła rekord.



CZWORONOGI TOWARZYSZ SKRZYDLATEJ PANI. Znana lotniczka amerykańska, Elinor Smith, odbywa przejażdżki powietrzne w towarzystwie psa owczarka, który na wszelki wypadek zaopatrzony jest w specjalnie dla niego skonstruowany spadochron. W tych dniach panna Smith, chcąc zaprawić swojego ulubieńca do akrobacji, kazała mu wyskoczyć z aeroplanu. Dzielny pies nie zawahał się ani chwili, rozkaz swej pani wykonał i wylądował szczęśliwie.

INDJANIE NIE WYMIERAJĄ.



Z obliczeń statystycznych okazuje się, że liczba Indjan w St. Zj. Am., która wedle ostatniego spisu wynosiła około 355.000, wzrosła w ostatnich latach prawie o 10·3%. Ten znak żywotności rasy czerwonej, która jeszcze do niedawna była uważana za skazaną na wymarcie, został powitany z radością przez Europejczyków, wśród których Indjanie cieszą się wielką sympatją. Na zdjęciu Indjanka nad strumieniem w Jasper National Park.